Dziś w numerze: ● Najdłuższa podróż ● Bez domów i nazwisk ● Ella Izaakowicz i Margarita Prokofiewna ● O sporze Wandurskiego z Broniewskim ● Wywiad z Simenonem ● Recenzje ● Felietony

odgłosy

Nr 20 (434)
21. V. 1967 r.
10 stron
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X

TADEUSZ GICGIER

W trybunalskim grodzie

Zaraz po wyjściu z dworca, w pierwszym napotkanym po drodze kiosku zobaczyłem „Gazetę Ziemi Piotrkowskiej". Nie każde powiatowe miasto w Polsce może poszczycić się swoim prasowym organem — kupiłem więc tygodnik bez chwili zastanowienia. Tygodnik jak tygodnik: na pierwszej stronie uroczystości i inauguracja, na drugiej — wiadomości z miasta i okolicy, na dalszych — „Tydzień kulturalny" obok „Tajemniczej historii w Styles" Agathy Christie, dopełnionej (jakby redaktorzy nie dowierzali wziętości tego nazwiska) anonimową „Karierą dr Sawade" i „Prawdą o detektywach".

Słowem: typowy polski magazyn tygodniowy. I te bombastyczne tytuły: „Uczczono pamięć wielkich synów Ziemi Piotrkowskiej". Przeczytałem jednak notatkę: „Delegacje władz miejskich i powiatowych Piotrkowa złożyły wieńce: przed tablica pamiątkowa poświęconą Stanisławowi Konarskiemu w gmachu Liceum im. Chrobrego, przed pomnikiem Andrzeja Frycza-Modrzewskiego w Wolborzu i na grobie Michała Rawity-Witanowskiego na piotrkowskim Starym Cmentarzu".

Wiem, kto to był Stanisław Konarski, wiem, kto zacz Andrzej Frycz-Modrzewski, a kim był Michał Rawita-Witanowski?

Z zawodu był farmaceutą, właścicielem apteki przy placu Trybunalskim, dawniej — Starym Rynku. Poszedłem więc na plac Trybunalski, wstąpiłem do apteki. Za ladą nie było nikogo, wdałem się w rozmowę z kasjerką. „Rawita-Witanowski? Ja go nie znałam, ale na froncie budynku jest tablica na jego cześć". — „Owszem, widziałem tablicę, widzę też panią, i z jej wyglądu wnoszę, że znać go pani nie mogła, bo kiedy on zmarł, pani jeszcze nie było na świecie". Kasjerka spłonęła rumieńcem zadowolenia i oświadczyła mi, że na pewno dowiem się czegoś więcej od magistra Hirnera.

☆

Magister Hirner przyjął mnie w swoim gabinecie znajdującym się na zapleczu apteki. Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, a potem wyjął z kieszeni białego kitla różdżkę czarodziejską. Tak jest, autentyczną różdżkę czarodziejską, tyle, że w zmodernizowanym wydaniu: zwisający poziomo na sznureczku kawałek metalu w kształcie trójkąta, czubkiem zwrócony ku dołowi. Przeprosił, czy może mnie zbadać. Nie zaoponowałem. „Przechodził pan zapalenie lewej zatoki" — stwierdził magister. „Nie przechodziłem" — odpowiedziałem zgodnie z prawdą, ale widząc niezadowoloną minę magistra dodałem: „chyba że bardzo dawno temu"... Magister rozchmurzył się, schował różdżkę z powrotem do kieszonki i zaczął mi opowiadać o kilku przypadkach rozpoznanych przez niego w ten sposób schorzeń. Musiałem kręcić się niespokojnie na krześle, bo w pewnej chwili urwał i powiedział:

☆

— No tak, ale pan pytał o byłego właściciela apteki. Niestety, nie znałem go, przybyłem tu dopiero po wojnie. Nie znaczy to jednak, że się nim nie interesowałem, i że go nie poważam.

Proszę, niech pan się odwróci, tam wisi jego portret.

Z portretu spojrzał na mnie mężczyzna w sile wieku, z sumiastym wąsem i wysokim czołem. Magister wyjął z szu-

Dalszy ciąg na str. 4

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

Made in Poland

Z ŁODZI na cały ŚWIAT

To brzmi dumnie, ale nie ma w tym odrobiny przesady: CONFEXIM — Centrala Handlu Zagranicznego — jedna z czterech w Łodzi, eksportuje wyroby polskiego przemysłu dziewiarskiego i konfekcyjnego do pięciu kontynentów, na rynki 86 krajów!

W ubiegłym roku obroty Centrali wyniosły około **75 milionów dolarów USA**, w tym ok. 55 milionów dolarów w eksporcie i ok. 20 milionów dolarów w imporcie. Jest to dużo, zważywszy, iż CONFEXIM pracuje niespełna pięć lat i jest dopiero na dorobku.

1.

Co eksportuje CONFEXIM? Przede wszystkim — jak to sama nazwa sugeruje — konfekcje. Najwięcej męskiej, z bawełny, wełny, welwetu i włókien syntetycznych, w tym płaszcze z popeliny i ortalionu. Konfekcję damską i dziecięcą, bieliznę, pasmanterię, nici, gazę, firanki, koce, ręczniki itp. oraz dywany. Niedawno wszedł do eksportu nowy asortyment — odzież robocza.

Duży procent eksportowanych wyrobów produkuje Łódź. Ogółem pracuje z CONFEXIMEM grubo ponad sto łódzkich fabryk. Na przykład tylko w drugim półroczu 1966 roku Centrala wyeksportowała wyroby aż sześćdziesięciu kilku łódzkich zakładów włókienniczych i odzieżowych. Zagraniczni kupcy wysoko sobie cenią wyroby naszych fabryk, chociaż zdarzają się reklamacje zarówno jakościowe, jak i z powodu nieterminowych dostaw.

* * *

Parę liczb: w roku 1963 globalna wartość wyrobów przemysłu dziewiarskiego i przemysłu odzieżowego, które CONFFXIM ulokował na rynkach kapitalistycznych wynosiła ponad **27 milionów złotych dewizowych.** w r. 1966 — dużo **ponad 57 milionów złotych dewizowych. Więc przeszło dwukrotny wzrost eksportu na przestrzeni 3 lat. Wielki skok i wielki sukces Centrali.**

2.

Europa jest największym rynkiem zbytu Centrali i zarazem przedmiotem jej szczególnego zainteresowania. Wiadomo, iż kraje słabo rozwinięte są nastawione przede wszystkim na import inwestycyjny, determinowany ich aktualnym etapem rozwoju ekonomicznego. Kontynent europejski skupia kraje wysoko rozwinięte, zasobne w dobra inwestycyjne, chętnie eksportowane. Obok tego rynki europejskie są bardzo chłonne na szeroki asortyment wyrobów włókienniczych z preferencją konfekcji gotowej. Takie zapotrzebowanie mieści się w eksportowym profilu CONFEXIMU. Wszyst-

Dalszy ciąg na str. 4

ŻE ŚWIATA

16 bm. zebrał się na swe dwudniowe plenarne posiedzenie Komitet Centralny PZPR. Na porządku obrad znalazły się: aktualne zadania w pracy politycznej partii oraz informacja o zawartych przez Polskę układach przyjaźni z Czechosłowacją, Niemiecką Republiką Demokratyczną i Bułgarią, a także o przebiegu konferencji europejskich partii komunistycznych i robotniczych w Karlovych Varach. W obu punktach porządku podjęto podstawowe aktualne kwestie sytuacji politycznej. Daje to okazję do kilku uogólniających uwag o obecnym układzie sił światowych i w naszym komentarzu.

Obserwując systematycznie bieg wydarzeń międzynarodowych nietrudno spostrzec dwie przeciwstawne tendencje w polityce światowej. Jedna z nich, reprezentowana przez Związek Radziecki i europejskie kraje demokracji ludowej, dąży do uchronienia świata przed nową wojną światową, ucieleśnia zasadę pokojowego współistnienia, a więc i współpracy międzynarodowej, druga — leżąca u podstaw polityki Stanów Zjednoczonych — do ograniczenia i wypierania, a gdyby to było możliwe, i likwidacji sił i ruchów socjalistycznych i postępowych. Ma ona na celu ukształtowanie świata na modłę amerykańską i opiera się na antykomunizmie.

Te dwie tendencje określają kierunek rozwoju wydarzeń międzynarodowych, przy czym mimo licznych przewrotów i interwencji zbrojnych, inspirowanych lub wręcz dokonywanych przez koła rządzące USA, które cały świat pozasocjalistyczny traktują jako domenę swych wpływów, pierwsza z nich jest dominującą.

Sam zresztą fakt, że Waszyngton raz po raz odwołuje się do interwencji militarnej świadczy o słabości imperializmu i nieskuteczności już podporządkowywania sobie krajów na drodze ekonomicznej i aliansów polityczno-wojskowych.

W kalendarzu interwencji imperialistycznych znajdują się m. in. takie daty, jak: 1950 rok — wojna koreańska, 1956 — konflikt sueski, 1962 — kryzys karaibski, a następnie: Wietnam, Dominikana, czy ostatnio Grecja.

Ilustrują one rolę, jakiej podjęły się Stany Zjednoczone, światowego żandarma.

Mimo pozorów, stwarzanych przejściowymi sukcesami tu i tam sił imperialistycznych, wzrost ekspansywności Stanów Zjednoczonych — nie przynosi im oczekiwanych wyników. Nie zdołano przecież powstrzymać postępu ruchu narodowo-wyzwoleńczego, ani też ostabić sił antyimperialistycznych.

Nie osiągając żadnego z wytyczonych celów — polityka USA przyniosła natomiast szereg niekorzystnych dla Waszyngtonu zjawisk, jak np. wysoki stopień odizolowania Stanów Zjednoczonych w opinii światowej, a nawet wśród ich sojuszników, uamodzielnianie się polityki europejskich krajów rozwiniętego kapitalizmu, które rozumieją iż partnerstwo z USA może je wciągnąć w poważny konflikt, narastanie wewnętrznej opozycji przeciwko obecnej orientacji politycznej Waszyngtonu.

Równocześnie systematycznie umacnia się wpływ nacechowanej realizmem i odpowiedzialnością za pokój światowy polityki krajów socjalistycznych. Ogranicza ona agresywne tendencje USA, umożliwia — jak w Wietnamie — skuteczne przeciwstawienie się agresji i stwarza — jak w Europie — realne możliwości zapewnienia bezpieczeństwa narodom.

Już tylko z tej lapidarnej oceny sytuacji wynika, jaki jest bilans sił we współczesnym świecie.

Po tych kilku uwagach natury ogólnej — przejdźmy do niektórych wydarzeń ostatniego okresu. Najwięcej komentarzy światowych budzi, oficjalna zmiana koncepcji strategicznych NATO. Cóż to za zmiana i o co w niej chodzi?

Powołajmy się — w odpowiedzi na to pytanie — na Reutera. — W komentarzu tej agencji czytamy: „Ministrowie (mowa oczywiście o ministrach NATO — przyp. red.) — postanowili dokonać zmian w strategii wojskowej NATO, by zgodna była z istniejącą sytuacją, charakteryzującą się złagodzeniem stosunków między Wschodem i Zachodem. Podjęli oni decyzję udzielenia wskazówek politycznych dowódcom wojskowym swych krajów, by pomóc im w przystosowaniu planowania do zmienionej sytuacji, w której jakiś umyślny atak na któregoś z członków NATO wydaje się wielce nieprawdopodobny".

Komentarzem do słów może być tylko przypomnienie, że wcale nie tak dawno kraje Europy zachodniej, a także zaoceaniczne próbowano straszyć „niebezpieczeństwem komunistycznym". Zmiana strategii — choć o tym nie mówią autorzy nowego projektu — jest ich przegraną, przyznaniem się do faktu, że zawiodła atlantyckie spoiwo, którym był straszak komunistyczny. Jest to nader istotny przyczynek do omawianego powyżej aktualnego układu sił światowych.

Z innych bieżących wydarzeń koniecznie trzeba odnotować spotkanie sekretarza generalnego ONZ — U Thanta z dziennikarzami. Na spotkaniu tym dał on wyraz wielkiemu zaniepokojeniu z powodu rozwoju wydarzeń w Wietnamie. Nigdy jeszcze sekretarz generalny ONZ nie mówił z taką powagą o niebezpieczeństwie światowym, jakie niesie agresja amerykańska w Wietnamie. W jego oświadczeniu zwraca przede wszystkim uwagę następujące zdanie: „Fakt, że rozwijający się kraj, a mianowicie Demokratyczna Republika Wietnamu, kontynuuje opór przeciw presji potęgi mającej olbrzymią przewagę, był i jest wciąż zasadniczym czynnikiem, który zapobiegł rozszerzeniu się konfliktu poza granice Wietnamu". Sformułowanie to — co oczywiście wcale nie trudno odczytać — jest podyktowane sympatią do narodu wietnamskiego, który przeciwstawia się agresji. Myślę, że Johnson będzie miał nowe powody, aby po tych słowach U Thanta spędzić kilka bezsennych nocy...

W. SŁAWSKI

KRONIKA TYGODNIA

Wojna w Wietnamie kosztuje Stany Zjednoczone codziennie 50 milionów dolarów. Oznacza to, że z każdego dolara płaconego przez podatników amerykańskich do skarbu państwa, 16 centów zużywa się na wojnę. W tym samym czasie projektowane reformy socjalne znane jako „program walki z nędzą" trzeba było odłożyć na przyszłość z powodu... braku dwóch miliardów dolarów... Hasło Johnsona „i armaty i masło" przybiera postać alternatywy...

* * *

7 maja br. opublikowano w Pekinie rozkaz KC KPCh o sytuacji w Sczuanie. Dokument zawiera szereg postanowień organizacyjnych, a między innymi ogłasza decyzję o zdjęciu z zajmowanych stanowisk I sekretarza Biura KC dla Chin Południowo-Zachodnich i komisarza politycznego okręgu wojskowego Czengtu, Li Czing-czuna, który jest równocześnie członkiem Biura Politycznego KC. Podnadto stwierdza się, że KC przeprowadzi dochodzenie w sprawie krwawego incydentu jaki miał miejsce w Czengtu w dniu 6 maja br. Ranni w toku incydentów mają otrzymać pomoc lekarską, a rodziny zabitych odpowiednią opiekę.

* * *

Christian Science Monitor o ostatniej ankiecie Instytutu Badania Opinii Publicznej: zaledwie 45 proc. osób objętych ankietą popiera prezydenta Johnsona. Zdaniem Gallupa głównym powodem spadku popularności prezydenta jest wojna w Wietnamie. 20 milionów Amerykanów uważa, że USA powinny natychmiast wycofać się z Wietnamu.

* * *

W Rumunii przebywała z wielodniową wizytą delegacja Towarzystwa Przyjaźni Chińsko-Rumuńskiej z członkiem Rady Naczelnej tej organizacji Lin-luminem. Zwiedziła ona szereg okręgów Rumunii, przeprowadziła liczne rozmowy w tym także z wicepremierem Emilem Bodnaresem.

* * *

Ministrowie obrony 14 krajów należących do NATO (przy nieobecności Francji), uzgodnili zmianę koncepcji strategicznych. Oficjalnie przyjęto koncepcję „elastycznej odpowiedzi" która ma stanowić podstawę strategii NATO rezygnując w ten sposób z doktryny „zmasowanego odwetu".

* * *

Nowy ambasador USA w Sajgonie, Ellsworth Bunker przekazał generałowi Westmorelandowi kierownictwo nad tzw. programem pacyfikacyjnym w Wietnamie południowym. Generał Westmoreland indagowany przez dziennikarzy odmówił odpowiedzi na pytanie, czy nowe zadania wojsk amerykańskich będą wymagały nowych posiłków.

* * *

Izba Gmin udzieliła zdecydowanego poparcia rządowi Wilsona dla jego decyzji ponownego wysunięcia kandydatury W. Brytanii na członka EWG. Rezolucja zaaprobowana została stosunkiem głosów 488:62. Uzyskana większość 426 głosów jest jedną z największych, jakie jakikolwiek rząd brytyjski uzyskał w Izbie Gmin w okresie pokoju.

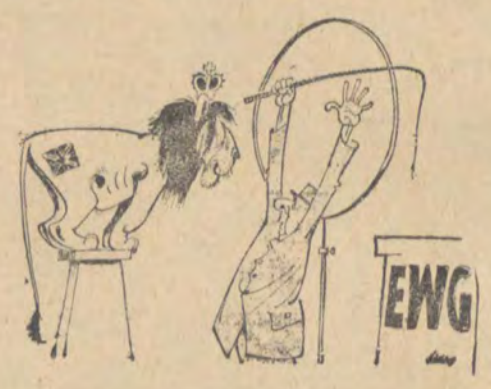

— Avant!

(Die Welt)

* * *

Badania Gallupa przeprowadzone po ogłoszeniu decyzji rządu brytyjskiego o ubieganiu się o przyjęcie do EWG wykazały, że obecnie tylko 49 proc. Brytyjczyków wypowiada się za przyłączeniem, przeciwko zaś aż 34 proc. Przed rokiem — wg Gallupa — było 70 proc. zwolenników przyłączenia się do EWG, przeciwników zaś tylko 10 proc.

* * *

W Iraku zaprzysiężony został nowy rząd. Na jego czele stanął Aref. Jest to pierwszy wypadek w historii Iraku by prezydent był jednocześnie premierem. Jednym z wicepremierów jest Kurd — Fuad Aref, któremu powierzono także tekę ministra do spraw odbudowy północy kraju. Komentatorzy agencyjni skłonni są przypuszczać, że nowy rząd jest próbą utworzenia frontu ogólnonarodowego.

* * *

Specjalna komisja Związkowej Rady Wykonawczej Jugosławii zakończyła prace nad projektem przepisów dotyczących współpracy finansowej przedsiębiorstw jugosłowiańskich z partnerami zagranicznymi. Przepisy te nie przewidują możliwości tworzenia przedsiębiorstw mieszanych ani konsorcjów. Podstawą współpracy mają być indywidualne umowy rejestrowane przez sądy. Wkłady kapitału zagranicznego nie mogą być większe od wkładów własnych przedsiębiorstw. Podstawową zasadą jest solidarność strat i zysków w zależności od wkładów.

* * *

„Rodong Szinmun" o linii Koreańskiej Partii Pracy: nasza partia będzie nadal walczyła przeciwko prawicowemu i lewicowemu oportunizmowi, wielkomocarstwowemu szowinizmowi i służalczości, będzie zdecydowanie walczyła w obronie czystości marksizmu-leninizmu, jedności obozu socjalistycznego i solidarności międzynarodowego ruchu komunistycznego.

* * *

W rejonie operacji partyzantów boliwijskich zatrzymany został przez siły rządowe pisarz i filozof francuski, profesor Regis Debray osobisty przyjaciel Fidela Castro, autor szeregu książek o rewolucji w krajach Ameryki Łacińskiej. Agencja AFP pisze — w związku z mającym się odbyć procesem — że władze boliwijskie uważają go jeżeli nie za szefa całej partyzantki, to przynajmniej za jej organizatora.

* * *

Teksaski dziennik „Dallas Morning News" zamieścił na czołowym miejscu list czytelnika ostrzegający przed rosnącym zagrożeniem Stanów Zjednoczonych przez importowane z krajów socjalistycznych... pszczoły. Zostały one — jak twierdzi autor listu przyuczone do atakowania ludzi na sygnał radiowy. Pewnego dnia zostanie z Moskwy nadany taki sygnał i setki milionów, a może miliardy pszczół ruszą do ataku... Wtedy komuniści wkroczą i zagarną Amerykę bez oddania jednego strzału...

* * *

„Moje poglądy na wojnę wietnamską są niezmienne: pozostaję przekonany, że zaprzestanie bombardowań jest warunkiem sine qua non rozpoczęcia rzeczywistych rokowań kładących kres konfliktowi" — oświadczył U Thant na zebraniu Stowarzyszenia Przyjaciół ONZ.

* * *

Plenum Krajowej Rady Komunistycznej Partii Indii omawiało kwestię przezwyciężenia rozłamu w szeregach komunistów indyjskich. W przyjętej rezolucji Krajowa Rada wezwała członków partii aby wykazali nową śmiałą inicjatywę w celu zacieśnienia na wszystkich szczeblach i na wszystkich frontach jedności działania między Komunistyczną Partią Indii a równo ległą Partią Komunistyczną.

* * *

Amerykański tygodnik „Newsweek" sugeruje, że prezydent Johnson wystosował do premiera Szwecji Erlandera list wyrażający niezadowolenie z powodu dopuszczenia do odbycia sesji Trybunału Bertranda Russella na ziemi szwedzkiej.

* * *

„Żenminżipao" krytykuje planowane wydanie w Związku Radzieckim nowej wersji opowieści biblijnych, które mają się ukazać pt. Wieża Babel. Opowieści biblijne — pisze „Żenminżipao" — mają kontynuować ducha spadkobierców chruszczowowskiego rewizjonizmu w ZSRR.

* * *

Druga sesja parlamentu łacińsko-amerykańskiego, w której udział wzięli przedstawiciele parlamentów 18 państw Ameryki Łacińskiej obradująca w Montevideo przyjęła rezolucję domagającą się wstrzymania bombardowań Wietnamu Północnego.

* * *

W związku z wydaleniem radzieckiego korespondenta W. M. Pasenczuka z Chin „Prawda" pisze: praca dziennikarzy radzieckich wywołuje niezadowolenie organizatorów „rewolucji kulturalnej", którzy chcieliby ukryć przed narodami świata wydarzenia odbywające się w ChRL.

* * *

W dniach od 19 do 26 maja brytyjski minister spraw zagranicznych Brown odwiedzi ZSRR. Przypuszcza się, że głównymi tematami rozmów będą: stosunki między Wschodem i Zachodem, problem Wietnamu, sprawa rozbrojenia jądrowego, stosunki handlowe między obu krajami. Obecnie opracowywane są szczegóły zaproponowanego przez premiera Kosygina układu o przyjaźni i pokojowej współpracy między Wielką Brytanią a ZSRR.

* * *

W czasie uzupełniających wyborów do Izby Związkowej Zgromadzenia Narodowego Jugosławii dotychczasowy minister handlu zagranicznego Nikola Dzuverović przegrał ze swoim kontrkandydatem również członkiem ZKJ i uczestnikiem wojny narodowo-wyzwoleńczej Obradem Lazovicem różnicą 30 tys. głosów.

Grecja — kolebka demokracji
(New York Herald Tribune)

LISTY do REDAKCJI

Dziękujemy Czytelnikom, którzy odpowiedzieli na naszą ankietę w m-cu kwietniu: było nam przyjemnie stwierdzić, że wśród nich największą procentowo grupę stanowili tym razem studenci Politechniki Łódzkiej oraz uczniowie ostatnich klas licealnych. To, że pismo nasze czyta młodzież zobowiązuje redakcję do szczególnej troski o poziom i program tygodnika, będącego zarazem — jak się okazuje — „ulubionym pismem" (to określenie cytujemy z paru listów do redakcji) nauczyciela, technika-metalurga, asystenta filologii polskiej i kreślarza.

O postulatach naszych Czytelników napiszemy szerzej w jednym z najbliższych numerów. Już dziś cały zespół redakcyjny łamie sobie głowę jak najlepiej je zrealizować.

I w tej codziennej pracy właśnie listy do redakcji i odpowiedzi na naszą ankietę są nam ogromnie pomocne. Tym gorącej zachęcamy naszych Czytelników: pomagajcie redagować „Odgłosy", piszcie do redakcji, krytykujcie to co się Wam nie podoba, wskazujcie ulubione rubryki i autorów, których szukacie na naszych łamach.

Wśród uczestników ankiety w kwietniu br. rozlosowaliśmy nagrody książkowe, które przypadły: Andrzejowi Opala, Jerzemu Pakowskiemu, Aurelii Janke, Irenie Białeckiej, Włodzimierzowi Pszczólskiemu, Zdzisławowi Grzelakowskiemu, Zdzisławowi Pawlakowi, Januszowi Macharskiemu, Grażynie Kowalewskiej, Józefowi Żmurko, Stanisławowi Podeszko, Urszuli Czarneckiej, Henrykowi Zaorskiemu, Wiesławowi Machnickiemu, Irenie Zgierskiej, Julii Ciechańskiej, Janowi Majewskiemu, Grażynie Ślusarek, Józefowi Urbanowiczowi, Kazimierze Mazurkiewicz, Henrykowi Jagodzińskiemu, Teresie Grabowicz, Stanisławowi Rapalskiemu, Mirosławowi Hajman, Julii Rataj, Ryszardowi Dobrowolskiemu, Janowi Piskorskiemu, Barbarze Grdeń, Kindze Gozek, Małgorzacie Saja i Stanisławowi Pilarskiemu.

JAN HUSZCZA

Najdłuższa podróż

Można o niej opowiedzieć w takim na przykład sposobie: razem z innymi powołanymi do wojska, przeważnie Rosjanami, 19 grudnia 1943 roku wyjechałem na saniach z pewnego kazachstańskiego sioła, zaś 24 stycznia roku 1944 koło południa dobrnęliśmy, ożywieni i podnieceni, do znanego z komunikatów, pism i ustnych relacji miejsca nad Oką, z którego znacznie wcześniej wymaszerowała dywizja im. Tadeusza Kościuszki (generała-lejtnanta, jak raz przeczytałem w gazecie rosyjskiej), gdzie zaś aktualnie formowano trzecią dywizję piechoty im. Romualda Traugutta.

Można też o takiej podróży, jeśli komu służy pamięć szczegółu i odpowiednia zdolność konstruowania zdań, napisać sporą książkę. Kto wie, czy nie byłaby ona czymś ciekawym z wielu powodów! Podstawowe fakty i wydarzenia są na ogół znane, natomiast wypełnienie ich szkieletu żyłami i tkankami, materią wojennej powszedniości i codzienności, zmiennym tłem, sytuacjami i sytuacyjkami, myśleniem zwyczajnych ludzi, wątpliwościami i konfliktami, sztrychami obyczajowymi — mogłoby stanowić zagęszczoną treść takiej wyimaginowanej książki.

Nie muszę dodawać, że nie przez cały czas jechaliśmy. Było dużo czekania, poczynając od rejonowego aułu a następnie ni to sioła ni to miasteczka Pawłodar, będącego siedzibą obłasti czyli po naszemu województwa. (Według danych, ale z 1963 roku liczącej 127 tys. km kw. i., 605 tysięcy mieszkańców).

W Pawłodarze przybyło nam towarzyszy z polskich środowisk w wieku prawdopodobnie od 17 do 50 lat, jechaliśmy piętnastoosobową grupką, było coraz raźniej i serdeczniej, choć przedłużająca się podróż męczyła, budziła trwogę sytuacja prowiantowa. Ratunek stanowiła grochowa zupa, żółty proszek z namaszczeniem sypany do wrzątku, po który biegało się podczas postojów.

Jak siebie samych, nie: może więcej niż siebie samych pilnowaliśmy worków z rzeczami. Co do podróży, ograniczę się do paru epizodów.

Poznałem sympatycznego młodzika-lejtnanta, który po raz trzeci, po wylizaniu się z kolejnej rany, jechał na front. Był obsesyjnie, co jest zrozumiałe, przekonany, że śmierci nie ujdzie, więc "czemu tak długo — kościana blada" — z nim igra. Opowiadał, iż został mu zabawny skądinąd odruch: słysząc strzelaninę, od dawna nie schylał się ani padał na ziemię, tylko ręką chwytał kołnierz szynela i naciągał aż po uszy.

(Jeśli ktoś chce praktycznie i na poczekaniu dowiedzieć się, czym jest estetyzm, estetyzowanie w sztuce, niech sobie zestawi tego lejtnanta z... linijką pięknego skądinąd wiersza, która przed wojną szczególnie mi się podobała: „obsypani różami wystrzałów, biegliśmy w ataku na Krasne...").

Pewnej nocy oficerowie wyrzucili z łomoczącego wśród mroźnej i głuchej ciemności pociągu jakiegoś pasażera, który usiłował ukraść komuś worek z rzeczami — „wieszczewoj mieszok". Nie dali się ubłagać.

W zatłoczonym wagonie łatwo było o poufną znajomość. Jeden z naszych, przystojny młodzieniec, pokumał się z młodą pasażerką i co noc folgowali sobie na górnej półce, niczym się nie krępując. Nam wystarczały teskne polskie i rosyjskie piosenki, owa Głafira również chętnie brała udział w śpiewaniu.

Jest rzeczą zrozumiałą, że pasażerowie, przeważnie ludzie oderwani od rodzin, najchętniej śpiewali piosenki właśnie teskne. Ożywa dumka o woźnicy, który prosi przyjaciela, by go w stepie odludnym, nie pomnąc zwad, pochował. Żałuję, że nie pamiętam dokładnie słów, pozostał mi tylko motyw.

Czasem trzeba było podstępem i siłą wdzierać się do pociągu, żeby jechać dalej. Ponad dwa dni siedzieliśmy na stacji Tatarsk. Ta nazwa kojarzy mi się z odwszawianiem ubrań i... roztańczonym Wiedniem w filmie o Straussie „Wielki walc", bezpłatnie wyświetlanym w jednej z poczekalni.

W Moskwie, ujrzanej po raz pierwszy, topniał śnieg. Dla nas była to tylko Moskwa z okolic dworca. Zdaje się, że kazańskiego. Nie wpuszczono nas do sali restauracyjnej, gdyż odmówiliśmy udziału w odwilżowym sprzątaniu.

A to mam zanotowane: „23. I. 1944 roku o 11 w nocy wysiedliśmy na stacji Diwowo, 43 osoby. Nocleg w namiocie. Dworzec zbombardowany, stacja mieści się w starym wagonie na bocznicy. Z rana, 24, kupiłem trzy lepioszki kartoflane za 15 rubli. Marsz do Sielców (Riazańska obłast'). Przez Okę. Ładny brzeg. Sioła z cerkiewkami, stare brzozy. Witał nas por. Mazurek. Łaźnia".

Nawet ta krótka notatka, gdyby ją rozwinąć, mogłaby zająć nieco miejsca. Mieszczą się w niej sprawy ważne dla autora: poczucie, że jesteśmy w dużej gromadce polskiej; pierwsze spotkanie ze śladami nalotów; kupno aż trzech placków maleńkich jak dłoń dziecka i o wiele od dłoni dziecka cieńszych; radość z powodu odzyskania krajobrazu z brzozami. Dodam, że i z sadami. Nazwisko tego, który najpewniej mówił o tułaczce i o tym, że przybyliśmy tutaj, by otrzymać broń. Dziś to brzmi pretensjonalnie, ale wtedy!... I jakże ważna sprawa: łaźnia gorąca woda.

Znacznie później dowiedziałem się, że znaleźliśmy się w najbliższej ojczyźnie lubianego przeze mnie poety w czasach studenckich, Sergiusza Jesienina. Od wsi Sielce, w której mieścił się sztab dywizji, do rodzinnej jego wsi Konstantinowo było ze dwanaście kilometrów. Jakże żałowałem, że w tej pięknej okolicy znalazłem się zimą, gdy śnieg, choć go lubię upraszcza przyrodę, nie pozwala na dokładniejsze obserwacje. Na konfrontację:

Rusi, twe pola malinowe
i błękit, który wpadł do rzeki...

Został po tym żalu ślad w wierszu wspomnieniowym:

Rosyjskie sioła! Wycinane
we wzory barwne okiennice.
Tam chyba wpełza chmiel na ganek,
gdy jesień złoci okolice...

A dalej już nasze sprawy:

Zimową widzę dal zawianą.
Ćwiczenia szły, choć zawierucha.
Do radjostacyj wkrzykiwano:
„Czy słyszysz Wisło?"...
„Lublin, słuchaj..."
Na dworze noc, srebrzysta smuga
Czułe w ziemiance listy pisza.
Kopciłki oczko ledwie mruga...
Wybaczcie, że onuce wiszą!

W wędrówce do Oki wzrasta dziwne a ciepłe uczucie swojszczyzny. Zaczęło się pod brezentową płachtą pod którą do wilniuków z północnego Kazachstanu przyłączyli się lwowiacy z Uralu. Prawie cała noc mimo zmęczenia, spędza się na rozmowach. Wspomnienia z ojczyzny. Informacje o niedawno przeżytej doli. Domysły, jak też będzie jutro i nie tylko jutro.

Wreszcie seledynem przebłyskuje wietrzny świt. Przychodzi oficer polski. (Pierwszego spotkaliśmy na dworcu w Moskwie, otoczyliśmy go kołem, zasypaliśmy pytaniami). Można dwójkami, potykając się w świeżym śniegu, maszerować a raczej brnąć. Właściwie to już zupełnie blisko, jakieś dziesięć kilometrów czyli jak rękę podać.

Znowu nawiało tego śniegu. Drogę, wytyczoną wierzbowymi plecionkami, rozczyszczają żołnierze. Każdy wpatruje się uważnie w mijane twarze, może dojrzy znajomą.

Gramolą się ciężkie pobrzękujące łańcuchami na oponach, wanderery czy też sztudebakery. Nad kierownicami, nad twarzami szoferów czapki futrzane z oksydowanym, szerokim orzełkiem.

Sfalowane, pagórkowate okolice. Grzbiety wzgórz porośnięte czuprynami lasów: smużą się błękitniejące w rzadziznach pasma.

Jeszcze przejść przez drewniany, dudniący most i grupka staje na skraju lasu. Zaczynają się tereny zryte ziemiankami, tereny formujących się jednostek wojska. Przedtem brama, chorągwie, portrety i napis: „Witaj, wczorajszy tułaczu, dzisiejszy żołnierzu!"

Choćby ze względu na ten napis warto zajrzeć do baraku komisji lekarsko-ewidencyjnej. Rozbierali się oberwańcy, obszarpańcy, łachmaniarze. Ewidencja zwięźle notowała dane personalne. Ludzie różnych zawodów, przeważnie jednak rolnicy. Znaleźli się na olbrzymich obszarach, jako wywiezieni na osiedlenie i „perewospitanie" w nigdy przedtem nie przeczuwanych krajach.

Jeśli ktoś podawał, że jest piekarzem lub kiełbaśnikiem, to wolno przypuszczać, iż marzył o pracy w kuchni, chciał się do pewnego stopnia zadekować. Co wcale nie oznacza, by wszystkich kiełbaśników o to podejrzewać. Kilku aż mężczyzn w związku z przydziałami do jednostek prosiło o formację spadochronową. O przerzut do partyzantki. Co to mogło znaczyć? Myślę, że podszeptywała im to dokuczliwa nostalgia: byle prędzej znaleźć się w Polsce. Takiej jednak formacji nie było.

Szanowna komisja cieszyła się z traktorzystów i kombajnerów, bo to przecie powstawało nowoczesne wojsko. Cieszyła się, gdy ktoś miał stopień podoficerski lub oficerski. Z wyszkolonymi kadrami było bowiem krucho. A w ogóle aż się nie chciało wierzyć, że tym łachmaniarzom i obdartusom, wyczerpanym przejściami i przeżyciami, tak prędko nadawano kształty regularnych jednostek. Jaki to musiał być wysiłek ludzi za te sprawy odpowiedzialnych!

Myślę jednak, że decydującą rolę odgrywało korzystnie zmieniające się poczucie moralne przybyłych. Odzyskiwali się. Znalezienie się w kręgu swojszczyzny, bo jednak z wielu względów tak było nad Oką, ważne w dramatycznych czasach doświadczanie wspólnego losu; świadomość, że się jeszcze raz skończył w jakimś sensie stan bezobywatelskości, że się uświadomiło sobie cel.

Mówię o tym, czego doznawałem wśród znajomych, wśród ludzi, z którymi się kontaktowałem.

Szybko znikała nieufność, która nie była obca przypadkowym mieszkańcom dalekich przysiółków, azjatyckich miasteczek, aułów i sioł.

Przecież pierwsze porozumienie, dzięki któremu skutecznie upomniał się o wygnańców gen. Sikorski, nie udało się, choć zorganizowano wojsko. Jedni doczekali się zaskakującej ewakuacji, inni, liczniejsi, zostali z zawiedzionymi nadziejami, z nowymi trudnościami moralnymi, nie mówiąc o materialnych, wzrastających w miarę przedłużania się wielkiej wojny.

Po kilkunastu dniach ludzie z 43-osobowej grupki, poprzydzielani do różnych jednostek o różnej specjalności, gdy przypadkiem ze sobą się zetknęli w lesie lub na uliczkach wsi Sielce, nie zawsze w pierwszej chwili się poznawali.

Maszerowały na ćwiczenia kołysane coraz zgodniejszym rytmem, drużyny, plutony i kompanie. Śpiewano nowe piosenki, ale tych trzeba było dopiero się uczyć, więc jeszcze chętniej stare:

Rozkwitały pąki białych róż.
Wróć, Jasieńku, z tej wojenki wróć.
Wróć, ucałuj jak za dawnych lat.
Dam ci za to róży najpiękniejszy kwiat...

Iluż to z tych śpiewających zginęło!

Komuż to róża z piosenki przeistoczyła się, przynajmniej na jakichś kilka rozmigotanych chwil, w jawę?

Nożycami przez prasę

MORDERCY BEZ MOTYWÓW

Prasa codzienna wiele miejsca poświęca morderstwom i związanym z nimi procesom. Czekaliśmy jednak na wypowiedzi tygodników, szukające środków zaradczych, formułujące problemy.

Głos zabrała „Kultura", przynosząc reportaż pt. „Pijany Lafcadio czyli żyrardowskie noce". Lafcadio z „Lochów Watykanu" nie potrzebnie został tu przywołany. To „intelektualista zbrodni". Stanisław Denoch i Lucjan Piątkowski to kolejni sprawcy potwornego czynu, dla którego znów nie znajdujemy żadnej motywacji, nieodzownej dla zrozumienia czyjegoś postępowania. Nie mają w gruncie rzeczy motywacji i mordy na taksówkarzach, których wynikiem jest paruset złotowy łup. Stwierdźmy więc nie po raz pierwszy: zastraszająco tanieje życie ludzkie. I to przeważnie wśród młodych.

W omawianym wypadku mamy do czynienia z zupełnym indyferentyzmem moralnym, z pustynią w ludziach. Przecież mordercy oraz Jerzy Baran, Irena Polit i Jolanta Sankowska po wypadku spokojnie kontynuują pijaństwo, piją i bawią się. Nic im nie zakłóciło ich wcześniejszego nastroju.

Przypomina reporter „Kultury":

Grupa oddala się wolnym krokiem. Bobrowski dopiero teraz pada na jezdnię, nieruchomieje koło Romanka.

— A jak się wyda? — pyta Baran. — To dostanę krawat — wyjaśnia Denoch.

Idą, jak to było zaplanowane przed „zajściem", na zabawę do Piątkowskich.

„Krawat" to stryczek. Ten synonim świadczy o niepojętym spoufaleniu z czymś tak ostatecznym.

Pierwsi, którzy widzieli zabitych, przeszli obojętnie, chyłkiem. Od opisu reporter, Janusz Głowacki, przechodzi do wnioskowania. Niestety, na razie tego mało, sprawy są zbyt trudne i skomplikowane, któż wskaże nieomylnie lekarstwo? Samo zarysowanie środowiska zbrodni rzy jeszcze nic nie daje. „Oficjalnie jest zarejestrowanych (w Żyrardowie — przyp. mój) 130 rodzin nie pracujących i nie chcących iść do pracy..." Tak, to już coś: więcej uwagi należy zwracać na tych, co nie pracują, nie potrafią ujawnić finansowych źródeł swojej egzystencji. Sekretarz komitetu partii w Żyrardowie dodaje:

Tak, o przesiedleniu najbardziej niepoprawnego elementu przestępczego do zamkniętych zakładów mówi się coraz więcej, obiekcje są, zrozumiałe, nie jest to najidealniejsze wyjście, ale...

Środków zapobiegawczych i jednocześnie wychowawczych trzeba jednak pracowicie i rozważnie szukać. Musimy szukać. Sam wstrząs wywołany dramatem, poczucie zagrożenia nie mają nic wspólnego z konkretnym działaniem. Można przypuszczać, że dyskusja na ten temat jeszcze się rozwinie. Czy jej nie zacząć od tego, że na co dzień przekraczanie rozmaitych norm współżycia ludzkiego wciąż jeszcze, właśnie w wypadku młodych, spotyka się z bagatelizowaniem, wzmaga rozzuchwalenie, zmniejsza stopniowo kontrolę nad sobą.

ZNOWU O REYMONCIE

Odbywał nowicjat u czestochowskich paulinów? Nie. Ale niewątpliwie myślał o sutannie. Jako realiście, kojarzyło mu się to zresztą i z pewnym dobrobytem, którego był spragniony. Zaczęło się jednak od zawodu miłosnego. Czytamy w „Tygodniku Powszechnym":

Wielka miłość przyszłego pisarza do młodziutkiej żony naczelnika stacji na Drodze Żelaznej Warszawsko-Wiedeńskiej (chyba w Rogowie) osiągnęła punkt szczytowy na początku roku 1889.

Dlaczego o tym piszemy? W nadziei, że doczekamy się jakiejś zbeletryzowanej monografii lub kalendarza życia i twórczości. Najlepiej i jednego i drugiego. Zainteresowanie bowiem twórczością jakiegoś pisarza biegnie od jego życia do książek lub od książek do życia. Stosunek wzajemny dwóch elementów, relacja pisarz — dzieło zawsze bywa i owocna dla badaczy i skuteczna dla propagandy twórców wśród czytelników.

SYMPATYCZNA INICJATYWA

„Tygodnik Kulturalny", pismo nastawione na sprawy inteligencji wiejskiej, może zaś inaczej: pracującej w terenie — postanowiło drukować wybitne utwory współczesnych poetów i zaopatrywać je w glossy wyjaśniające. Inicjatywa nie nowa, ale pożyteczna. Na początek wiersz Kazimiery Iłłakowiczówny objaśnia Julian Rogoziński. Nie ma najmniejszych powodów, by kwestionować jego kompetencje. Z komentarza wybieramy jednak kilka słów, zwrotów i terminów: koncentrat maksymalnie stężony (brzydkie!), ekspresjoniści, poetyckie pozytywizmy, rodowody magiczne, śmierć usakralizowanych owadów, symbolizować matriarchat, złoża paleopsychiki, doznania prenatalne, wizja poetycka z horyzontalnej przechodzi w wertykalną, sublimacja ostateczna... „Tygodnik" nie zastosował, niestety, odsyłaczy do komentarza. Wyjaśnianie wierszy, przyznajmy to lojalnie, nie jest zajęciem łatwym, ale jeśli ktoś się na nie decyduje, powinien popracować nad czytelnością i przystępnością swoich wypowiedzi!

SPOTKANIA AUTORSKIE

Trwają jeszcze Dni Oświaty, Książki i Prasy. Więc wróćmy do tego tematu. Tym razem do spotkań autorskich. „Życie Literackie" omawia wyniki ankiety, rozesłanej do pisarzy i bibliotekarzy, działających na Dolnym Śląsku. Wyniki podsumowuje Jerzy Olszak. Wynikł kłopotliwy, bo dotyczy tak indywidualnych doświadczeń; zalecanych od autorów, organizatorów i słuchaczy. Dotyczy i na naszym terenie sprawa wymaga choćby jakiejś dyskusji (polecamy to wyżej cytowanej kultury: miejskiemu i wojewódzkiemu), przytoczmy parę wypowiedzi.

Największą popularnością jak wykazała ankieta, cieszą się spotkania autorskie w środowisku inteligenckim i wśród młodzieży. Kolejne miejsca zajmują środowiska: robotnicze i chłopskie.

*

Lilian Seymour mówi: „...Autor musi się każdorazowo dostroić do środowiska, w którym odbywa spotkanie".

*

„Spotkania z publicznością środowiskowo jednolitą — mówi Karol Bunsch — należą raczej do rzadkich, ale też zawyczaj do udanych, pozwalają bowiem na wybór odpowiedniego tematu i sposobu jego przedstawienia.

Zgoda na ogół panuje co do tego, że podczas spotkań należy mało czytać. Dyskryminacji podlegają zwłaszcza fragmenty większych całości. Wreszcie stwierdzenia może najważniejsze i szczególnie przekonywające:

Uczestnicy ankiety opowiadają się za organizowaniem spotkań głównie w okresie jesienno-zimowym. Nasilenie ich częstotliwości w Dniach Oświaty, Książki i Prasy, ze względu na porę roku oraz równoczesne występowanie innych różnorodnych imprez, osłabia frekwencję czytelników, powoduje pośpiech wśród pisarzy depczących sobie po piętach i chęć wykorzystania tego okresu dla zapewnienia sobie największej liczby spotkań, co rzutuje ujemnie na ich jakość.

Ostrzega się również przed grasującymi pseudoliteratami!

JAN OLECHNO

W trybunalskim grodzie

Dalszy ciąg ze str. 1

flady biurka gruby tom „Historii farmacji":

— Tu są spisane prace Rawity-Witanowskiego. Oczywiście tylko te, które dotyczą dziejów krajowego aptekarstwa i roli aptekarzy w życiu naszego społeczeństwa. Ale to tylko drobna cząsteczka jego publicystycznej działalności. Ogółem ogłosił drukiem ponad 450 prac. A teraz niech pan pozwoli za mną.

Wstałem posłusznie i poszedłem za magistrem. Magister sprowadził mnie do piwnicy, a właściwie kilku piwnic, spełniających aktualnie rolę aptecznego magazynu.

Zatrzymaliśmy się w jednym z podziemnych pomieszczeń.

— Niech pan posłucha — powiedział magister.

Usłyszałem nad głową miarowy stukot, jakby ktoś pukał w grubą ścianę. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że są to kroki przechodniów.

— Jesteśmy pod Starym Rynkiem — objaśnił magister. — Przejdziemy do następnej piwnicy.

W pewnym, sobie tylko wiadomym miejscu, magister zadreptał na betonowej posadzce.

— Słyszy pan, jak dzwoni? — zapytał.

— Słyszę — odpowiedziałem.

— Tu było podziemne przejście długości czterech kilometrów. Jego wylot znajdował się w lasach Rakowa. W czasach najazdów szwedzkich ludzie uciekali tędy z miasta.

Wróciliśmy na górę, do apteki pełnej teraz klientów. Zakręciło mi się trochę w głowie, może od dziennego światła, a może od tego gwałtownego przeskoku o trzy wieki. (Szwedzi pustoszyli Piotrków w połowie XVII wieku). Magister podprowadził mnie do okna.

— Widzi pan tę renesansową kamienicę po drugiej stronie Rynku? Pochodzi z XVIII wieku, zwano ją pałacem Przyłuskiego, kasztelana brzezińskiego. Niech pan zajrzy na jej podwórze, zobaczy pan ciekawą kolumnadę, która przypomina dziedziniec kamienicy Jabłonowskich w Krakowie. Ta obok narożna z kawiarnią „Pod Ormianinem", to jedna z najstarszych kamienic Piotrkowa, bodaj z XV wieku. Była kiedyś własnością rodziny ormiańskiej. A ten drugi dom rogowy, z ornamentacjami w stylu cesarstwa, należał do rodziny kupców greckich. W sąsiedniej kamienicy, tej dwupiętrowej, mieściło się za czasów powstania styczniowego więzienie dla powstańców. Do dziś opowiada się o torturach, jakie im zadawano.

I tak wprowadzony zostałem w dzieje trybunalskiego grodu. Magister Hirner wcale nie ukrywał przede mną, że to, co wie o tych dziejach, wyczytał w „Przewodniku" po Piotrkowie Trybunalskim, którego autorem jest Michał Rawita-Witanowski.

Przypomnijmy pokrótce, za tym chwalebnym przewodnikiem (myślę tu zarówno o książce, jak o jej autorze) — historię jednego z najstarszych miast w Polsce.

„Wyżyna, wśród której leży miasto, pokryta niegdyś lasami, stanowiła wraz z całą okolicą własność księcia sieradzkiego.

Powstałe nieopodal opactwa: w Witowie i Sulejowie, w XII i początkach XIII wieku, oraz sąsiednie siedziby biskupie w Pabianicach i Wolborzu, pomagały do skolonizowania puszczy. Toteż najstarsze nadania na rzecz wspomnianych klasztorów, datowane są w latach 1224—41 z rezydencji książęcej. Prawdopodobnie w tym czasie otrzymał Piotrków prawa miejskie i pozwolenie używania na pieczęci orła piastowskiego.

Łokietek buduje zamek i klasztor Dominikanów, a syn jego, Kazimierz Wielki, fundacje te wykańcza, wznosi ratusz i murami miasto otacza. W roku 1347 zjazd Wielkopolan spisuje prawa tej dzielnicy, włączone do statutu wiślickiego.

Za czasów jagiellońskich, zwłaszcza w epoce walk o Pomorze bałtyckie, zjazdów tych odbywa się cały szereg. Ostatni sejm odbył się w r. 1567. Dłużej, bo od r. 1455 do 1628, odbywały się tutaj synody duchowieństwa, a było ich wszystkich 29. Opuszczony przez sejmy Piotrków znów ożywiły ustanowione za Batorego trybunały koronne, które przez lat 214, corocznie (1578—1792) przez sześć miesięcy „kadencje" swe odbywały. Zachwiały rozwojem miasta dwukrotne najazdy szwedzkie (1656 i 1702 r.). Miasto przeważnie drewniane, częstym ulegało pożarom, a wojny i zaraza — dziesiątkowały mieszkańców. Po rozbiorach kraju Piotrków stał się siedzibą kamery i regencji pruskiej (1793—98).

Za Księstwa Warszawskiego przejścia wojsk zubożyły miasto, do którego Rada Stanu czasowo się przeniosła. Za Królestwa Kongresowego w roku 1816, stał się Piotrków miastem obwodowym. Przeprowadzenie kolei żelaznej ożywiło przemysł, a utworzenie guberni (1867) wzmogło jego ludność. Obecnie, na rzecz Łodzi, pozbawione władz wojewódzkich, w rozwoju przemysłu fabrycznego jedynie widzi przyszłość przed sobą".

Słowa te napisał Witanowski w roku 1923. „To niebywały znawca Piotrkowa" — powiedział mi przy pożegnaniu magister Hirner. Dziś może z nim się równać tylko jeden człowiek: magister Tadeusz Nowakowski. On może całymi godzinami mówić o Piotrkowie. Niech pan koniecznie z nim się zobaczy".

Obiecałem, że nie omieszkam. Tym bardziej, że byłem już z panem Nowakowskim umówiony. Gwoli ścisłości wypada zaznaczyć, że mgr Tadeusz Nowakowski jest dyrektorem Fabryki Maszyn Górniczych i prezesem piotrkowskiego oddziału PTTK. Umówił się ze mną na godziny popołudniowe, ponieważ u siebie w biurze miał delegację górników.

☆

Przeszedłem na drugą stronę torów, pod siecią trakcji elektrycznej (tak, tak, to już nie dawna „kolej żelazna"). Dom przy ul. Słowackiego 50, pierwsze piętro. Na drzwiach wizytówka: „Nowickie". Otwiera mi starsza pani, drobna, mała, żywa jak iskra.

Siadam przy stole w obszernym, skromnie umeblowanym pokoju. „No, wie pan, ja to tylko zastępowałam sekretarkę pana Witanowskiego, ale znałam go dobrze, bywałam często w jego domu. Proszę pana, jaki to był idealny mąż i ojciec rodziny! Na każdą rocznicę ślubu przynosił żonie kwiaty". To samo mówiła mi pani Kozłowska. I jeszcze, że znalazł zawsze czas, by iść z rodziną na spacer. A gdy wyjeżdżali z matką na wakacje, narzekał, że nie może pracować, bo jest taka cisza w domu...

— Wszyscy przychodzili do jego apteki po radę, jak do lekarza. Temu poradził jakąś maść, tamtemu pigułki. Odrywał się od pracy, bo on, proszę pana, pisał nawet w aptece. I w aptece załatwiał wiele spraw związanych z naszym Towarzystwem...

To z „naszym" zabrzmiało bardzo dobitnie. Moja rozmówczyni wyjęła z szuflady niewielkie pudełeczko, otworzyła je i z nieukrywaną dumą pokazała mi złotą odznakę PTTK.

— Dostałam ją na 50-lecie przynależności do Towarzystwa. Bo ja, proszę pana należę do PTTK (dawniej było PTK) od pierwszej chwili założenia go w Piotrkowie, to jest od roku 1908.

Pani Wacława jest osobą skromną. Mówi tylko o przynależności, a przecież wiem już, że była współorganizatorką piotrkowskiego oddziału PTK, który powstał jako jeden z najpierwszych w kraju, oraz, jako nauczycielka, propagatorką wiedzy krajoznawczej wśród dzieci.

Natomiast nie ma słów uznania dla pierwszego i wieloletniego prezesa PTK, Michała Rawity-Witanowskiego.

— On był duszą całego Towarzystwa. Założył je i prowadził aż do drugiej wojny światowej, zresztą zbieraliśmy się także i w wojnę. Na samym początku zebrania odbywały się w jednym pokoiku przy ulicy Bykowskiej. Później prezes wydostał od Austriaków zamek królewski i tam przenieśliśmy swoją siedzibę. Towarzystwo wyremontowało ze składek społecznych zamek, a potem zorganizowało tam muzeum regionalne, którego pierwszym kustoszem został pan Witanowski. Ale miał też oddanych ludzi. Taki na przykład profesor Rybner, historyk. Zorganizował koła młodzieżowe PTK w szkołach średnich. Najzdolniejszych i najaktywniejszych członków tych kół szkolił sam prezes na pierwszych przewodników. Szkolił poglądowo, sam prowadził wycieczki, te po Piotrkowie i okolicach, i te dalsze, w Tatry, nad morze, nad Gopło, do Kruszwicy. Bo my, proszę pana, poza opieką nad zabytkami, urządzaniem wystaw krajoznawczych i gromadzeniem zbiorów naukowych mieliśmy wtedy, w okresie zaborów, jeszcze jeden cel, który nie mógł być ujawniony w statucie. Tym celem było rozbudzanie miłości do ojczystego kraju. Niech pan to koniecznie zapisze.

Zapisałem. A potem spytałem obie panie, jak im żyje się dzisiaj w Piotrkowie?

— O, to już jest inne miasto. Ma teraz nowe osiedla, nowe szkoły. Rozbudowały się huty szkła, powstało wiele nowych zakładów przemysłowych. A widział pan Dom Nauczyciela, jaki jest piękny? No i kino panoramiczne „Hawana", tylko bilety w nim trochę za drogie. Przynajmniej na nasze kieszenie. Ale cieszymy się tym nowym Piotrkowem, zresztą mamy go jak na dłoni.

Spojrzałem odruchowo w okno. Na wzgórzu, paręset metrów od mojego punktu obserwacyjnego, rozciągał się rząd bloków mieszkalnych, najeżonych antenami telewizyjnymi.

☆

Prezes Tadeusz Nowakowski, mimo, że pełni dwie ważne funkcje naraz, jest człowiekiem bardzo bezpośrednim. Zapytał mnie wręcz, czym jeszcze może mi służyć, bo na pewno wiele już o Piotrkowie i Michale Rawicie-Witanowskim usłyszałem. Odpowiedziałem, że liczę na relacje o czasach najnowszych, powiedzmy, od okresu okupacji.

Witanowski był już wtedy człowiekiem starszym. Ale nie zrezygnował z działalności. Starał się zabezpieczyć cenne muzealne zbiory, wśród nich miecz krzyżacki. Niemcy poszukiwali tego miecza, przeprowadzali kilkakrotnie rewizje u Witanowskiego, ale eksponatu nie znaleźli.

Witanowski zmarł w 1943 roku, liczył wtedy 83 lata. Jego pogrzeb stał się cichą manifestacją patriotyczną w Piotrkowie. Warto chyba jeszcze dodać, że do ostatniej chwili pracował nad monografią Piotrkowa, którą ja przejąłem w spuściźnie. Przejrzałem dwa pierwsze rozdziały i zamieściłem je w „Gazecie Ziemi Piotrkowskiej". Przygotowałem także następne do druku, ale leżą już od roku w Redakcji, widocznie Redakcja nie jest nimi zainteresowana. Woli drukować kryminały.

Przyznałem prezesowi rację. No bo już rozumiem, że drukuje się Agathę Christie. Ale po co jeszcze „Prawdę o detektywach"? Czyż nie ważniejsza jest, zwłaszcza dla tej gazety, prawda o Piotrkowie?

— A czym Piotrków żyje obecnie? — zapytałem.

— Żyje ważnym wydarzeniem, jakim są uroczystości 750-lecia naszego grodu, przypadające na rok bieżący. Oczywiście udział w nich PTTK będzie odpowiednio szeroki. Bo nasza rola jest dziś szczególnie odpowiedzialna: idzie o to, by w czasach gwałtownego postępu techniki i cywilizacji nie zapomnieć o naszej przeszłości, a także o pamiątkach po niej. Tak na dobrą sprawę nie ma prawie wydarzenia, w którym nie bralibyśmy udziału. To zrozumiałe: jesteśmy przecież organizacją masową.

Przed wyjazdem z Piotrkowa odwiedziłem jeszcze zamek królewski. Zamek jest w remoncie i wstyd się przyznać, ale wszedłem do niego nielegalnie, od podwórza, przez uchyloną bramę.

U wejścia na korytarze uderzyła we mnie fala chłodu. Szedłem więc dalej powoli, tyle z powodu zimna, co z racji szacunku dla wiekowych murów. Pamiętają one przecież czasy Łokietka i Kazimierza Wielkiego. Tu obierano królów polskich: Olbrachta, Aleksandra, Zygmunta I i Zygmunta Augusta. Tu, za panowania Kazimierza Jagiellończyka, odbył się pierwszy hołd pruski.

Zamek jest opustoszały, zbiory muzealne spakowane i odpowiednio zabezpieczone. Wzniesiono drugie piętro, dzięki czemu budowla odzyskała pierwotny kształt — tak jak tego pragnął Michał Rawita-Witanowski. Szczytową kondygnację wzięły już we władanie kawki — kawki — znak to, że rekonstrukcja się udała. Niezadługo muzeum otworzy podwoje, przyjadą turyści z różnych stron kraju, by poznać chlubne dzieje trybunalskiego grodu.

Reportaż nagrodzony w konkursie „Przez X wieków Polski", zorganizowanym przez Komitet Ogólnopolskiego Konkursu Turystyczno-Krajoznawczego i Związek Literatów Polskich.

TADEUSZ GICGIER

Z ŁODZI na cały ŚWIAT

Dalszy ciąg ze str. 1

ko więc wskazuje na szersze perspektywy wymiany towarowej.

Są wszakże i inne przyczyny atrakcyjności tego rynku: względna łatwość nawiązania kontaktów handlowych, mniejsze odległości, a zatem i transport mniej kosztowny, i szybszy, eksport mniej skomplikowany, perspektywy częściowych dostaw itp.

Na rynku europejskim najpoważniejszym odbiorcą naszej konfekcji, męskiej i damskiej oraz wyrobów dziewiarskich, jest Związek Radziecki. CONFEXIM lokuje tam też niewielkie ilości wyrobów pończoszniczych i dywanów. **W r. 1966 globalna wartość eksportu CONFEXIMU do ZSRR wyniosła 155 milionów 905 tysięcy złotych dewizowych.**

Rynek radziecki jest dla nas bardzo ważny zarówno ze względu na wielkość eksportowanej masy towarowej, jak i stale wzrastającą chłonność. Ale nie tylko dlatego. Jest on przede wszystkim terenem ostrej walki konkurencyjnej takich potęg przemysłu dziewiarskiego i konfekcyjnego jak Anglia, Francja i Włochy. I oto wśród tych uznanych w świecie znakomitości pojawia się nowy partner — Polska, który nie tylko nie wypada z konkurencji, lecz, co więcej, wchodzi wnet do światowej czołówki producentów w branżach konfekcyjnej i dziewiarskiej. **Jest to więc sukces zarówno materialny, jak i prestiżowy. Ale też zobowiązuje: ani kroku do tyłu — tylko stale wprzód.**

Spośród innych europejskich rynków zbytu CONFEXIMU, kolejno — pod względem wielkości eksportowanej masy towarowej, należy wymienić: Anglię, NRF, Szwecję, Norwegię, Danię, Francję, Austrię, Finlandię, Belgię, Holandię.

O Anglii trochę dłużej. Do Wielkiej Brytanii płynie przede wszystkim konfekcja damska. W eksporcie tego asortymentu zrobiono wielki krok w przód, bowiem rok 1965 był w ogóle pierwszym rokiem eksportu polskiej konfekcji damskiej na zagraniczne rynki. Ów pierwszy rok „damskiego eksportu" był kolejnym osiągnięciem CONFEXIMU — **milion 700 tysięcy złotych dewizowych.** Obecnie polska konfekcja damska znajduje chętnych nabywców na rynkach Afryki i Stanów Zjednoczonych. Wszakże głównym jej odbiorcą jest Anglia.

W związku z tym ciekawostka: polska konfekcja damska weszła na brytyjski rynek ze znakiem fabrycznym „Foreign" — wyrób zagraniczny. Lecz tamtejsi kupcy nie kryli, iż jest to artykuł produkowany w Polsce. Wkrótce konfekcja zyskała sobie dobrą opinię oraz szeroki rozgłos i Anglicy zaczęły poszukiwać polskich sukienek, nie bardzo jednak dowierzając skromnym etykietkom „Foreign". **I tak oto, pewnego dnia, pod naciskiem opinii płci pięknej, brytyjscy kupcy zażądali od CONFEXIMU umieszczania na wszystkich polskich wyrobach włókienniczych i konfekcyjnych napisu „MADE IN POLAND".**

Drugim co do wielkości rynkiem zbytu Centrali jest kontynent amerykański, gdzie najpoważniejszym kontrahentem CONFEXIMU jest Kanada oraz St. Zjednoczone. Warto w tym miejscu wspomnieć, iż na przestrzeni ostatniego roku **eksport CONFEXIMU do USA wzrósł jedenastokrotnie.**

Rynki zbytu Centrali na pozostałych kontynentach: afrykańskim, azjatyckim i australijskim, są nieco mniejsze, lecz także chłonne, a w szczególności rynki krajów Afryki.

3.

Z doświadczeń Centrali wynika, iż krajowy przemysł włókienniczy i odzieżowy **stać na produkcję o światowym standardzie.** Sięgam do przykładu: łódzki przemysł dziewiarski, w przeciągu bardzo krótkiego czasu, umiał tak zorganizować produkcję oraz podnieść jakość swych wyrobów na tak wysoki poziom, iż w roku 1966 Stany Zjednoczone nabyły je za sumę przeszło pół miliona dolarów. A przecież w roku 1965 nie mieliśmy tam żadnego eksportu! Wpłynęły na to z jednej strony – harmonijna współpraca CONFEXIMU z przemysłem dziewiarskim zaś z drugiej, coraz lepsza organizacja pracy w fabrykach, rzetelny wysiłek całych załóg fabrycznych, od robotników aż po pion kierowniczy, zrozumienie eksportowych potrzeb kraju i, na ogół, choć nie wszędzie, właściwe ukierunkowanie bodźców ekonomicznych.

W produkcji eksportowej, trudnej i specyficznej, wyłaniają się nieraz problemy trudne do rozwiązania, jakieś usterki techniczne, czy inne nieprzewidziane manka-

RYSZARD KLIMCZAK

Bez domów i nazwisk

Lat dwadzieścia minęło z okładem. Zwątpiłem w tę oczywistą prawdę, rozglądając się po izbie. Plastyczny obraz, który utrwalił się w mej pamięci mógłbym teraz nałożyć, jak fotograficzną odbitkę na negatyw oryginału. Białe ściany i sufit z belkami. Te same dwa łóżka stoją przy przeciwległych ścianach. Nad nimi wiszą te same, w brązowych ramach, pod szkłem, dwa malowane olejną farbą na czarnym suknie, kolorowe portrety. Góralka i góral — dzieła jarmarcznego artysty. Na środku pokoju, w wieńcu krzeseł stoi ten sam duży, prostokątny stół. Szafa, komoda — wszystko na swoim miejscu. Mogę zamknąć oczy i z łatwością poruszać się wśród tych sprzętów.

W okresie z górą dwudziestu lat powojennego, intensywnego życia, działy się wokół wielkie rzeczy, przynoszące istotne zmiany jakościowe. W wielu z nich bezpośrednio i osobiście uczestniczyłem. Siła ich oddziaływania na moją wrażliwość, przeświadczenie o wielkich dokonaniach w tym kraju, jakby kucnęły, skarlały wobec niezmiennego trwania tej izby. Tu się nic nie zmieniło. Czas się zatrzymał.

Nie posiwiały bardziej włosy mamy i „dziadka" Mazurkiewiczów. Mama — wszyscyśmy zawsze mówili mama — użalała się teraz na coraz większe dolegliwości. Czas groźnie pokasał jej serce. Wielkie, czułe serce, w którym każdy z nas miał swój kątek.

Przyznaję, że bałem się tu przyjechać. Sam nigdy chyba nie zdobyłbym się na to. Odsłonięcie pomnika w Jasieńcu stało się okazją, pretekstem. Wybrałem się tu w odwiedziny wraz z Mietkiem i Kazikiem. Nie „przyszywani" — jak ja — synowie.

Niepotrzebnie obawiałem się spotkania. Niepotrzebnie sądziłem, że przeżyję swoje własne, prywatne „trzęsienie ziemi".

Obnosiłem w sercu obawę, że gdy stanę samotnie w drzwiach chaty Mazurkiewiczów, mama zapyta: — Pan do kogo? Obcy.

Wyszedłem z samochodu pierwszy. Był już wieczór. Mama Mazurkiewiczowa stała w progu. — O Jezu! — zawołała. — I Rysio przyjechał. Byłem dla niej dawnym Rysiem. Za chwilę tuliła mnie w swych ramionach, a ja całowałem ją po rękach i policzkach, z uczuciem ulgi i wzruszenia.

Nie obcy. Przyjechaliśmy bez zapowiedzi. Niespodziewanie.

Gawędziliśmy do późnej nocy. Mama ożywiała się przy wspominkach. W wielu jej ówczesnych poczynaniach przeplatały się mądrość i przebiegłość. Jak kwoka kurczęta, chroniła nas przed niebezpieczeństwem wyprowadzając w pole hitlerowskich łapaczy, myląc ich czujność. Nie zawsze byliśmy dość ostrożni. Wiedziała co się święci w jej domu, czym dla podziemnej armii była jej zagroda. Wtedy, niepokojona lękiem i troską, jak dziś wzruszeniem, uroniła ukradkiem niejedną łzę. Akceptowała naszą walkę, choć drżała o nasze życie. Pomagając, jak tylko mogła i potrafiła walczyła razem z nami. Nie zawiodła nigdy. Dziś także nie. Nie jestem obcy.

Wychyliliśmy parę kieliszków „Pliski" pod znakomitą wiejską kiełbasę. Zdrowie mamy i dziadka. Za pomyślność tego domu. Uśmiechała się. Kieliszka nie tknęła i przestrzegła: - Dość już toastów.

Przed udaniem się na spoczynek, zamówiliśmy u mamy na śniadanie barszcz.

Do dziś zachowałem w pamięci smak barszczu, którym nas przed laty niejednokrotnie karmiła. Smak niepowtarzalny.

Leżałem w łóżku z otwartymi oczyma. Na drugim — zasnął, o czym świadczył równy oddech — Mietek. Tylko Kazik marudził jeszcze w kuchni. Mietek, nim zasnął, strofował brata. — Ten cycol nie da dziadkom spać. Zaraz go przepędzę. Nie zdążył wykonać zamiaru. Zasnął.

Leżałem w łóżku z otwartymi oczyma. Z kuchni sączyły się przez nie domknięte drzwi odgłosy rozmowy.

Nieraz z tej izby wionęło przyczajoną ciszą. Nieraz też rozbrzmiewała gwarem młodych ludzi. Przychodziły mi na myśl różne sytuacje, różne sceny. Próbowałem, jak reżyser aktorów, poustawiać postacie. Tam stoi Edward, obok siedzi Rozłucki, nad nim nachyleni Zew, Przełom i Maszt, na łóżku wyciągnął się Kmicic, za czuprynę szarpie go Wesoły, do mnie przysiedli się Czarny, Stefan a w drzwiach stanął Czesław. Edward mówi... Albo inaczej. Właśnie wszedł Janusz Horosiński, Muzyk i kompozytor. Zawierucha wojenna rzuciła go w rodzinne strony. Zakonspirował się w miejscowym kościele w charakterze organisty. Swój protest przeciwko przemocy hitlerowskiej, najpierw sam, wyrażał w pieśniach.

Organy, podczas kościelnych uroczystości i nabożeństw, zamiast Bachem lub Mendelssohnem rozbrzmiewały pod jego palcami wariacjami na temat: „Jeszcze Polska nie zginęła", „Nie rzucim ziemi skąd nasz ród", „Oto dziś dzień krwi i chwały", lub motywami pieśni wojskowych.

Potem pod jego batutą, w chacie Przełoma, uczyliśmy się śpiewać o sercu w plecaku, o dziewczynie którą przyszło żegnać pod lasem, o wierzbach rozszumiałych żalem, albo tę pieśń straceńców, którzy nie mają domów, nazwisk i ojczyzny. Niewiele brakowało by uczynił z nas zupełnie poprawny chór podziemia. Często tu zaglądał, manifestując uczucia sympatii dla naszej grupy. Do walki czynnej na razie się nie włączał. Zwracaliśmy się do niego per profesor. Darzyliśmy go pełnym zaufaniem. Znał prawie wszystkie tajemnice, uczestniczył w wielu tajnych zebraniach i dyskusiach. Nie lubił broni. Starał się jej nie dotykać.

A właśnie — broń. Mieliśmy ją zmagazynowaną w dobrze zamaskowanym schowku, w głębi podwórza zagrody Mazurkiewiczów. Jedenaście karabinów, cała skrzynia amunicji, osiem granatów i kilka taśm do karabinu maszynowego. Broń krótką każdy wolał mieć przy sobie, lub ukrytą pod ręką, gotową w każdej potrzebie. Schowek w zagrodzie Mazurkiewiczów uważaliśmy za garnizonowy arsenał. Tam gromadziliśmy broń uznaną za służbową. Poza tym, niejeden z nas posiadał jeszcze swoją „prywatną" długą broń. Sam miałem ukrytą pod powałą, na styku dachu i ściany, niezłą sztukę: pięciostrzałowego mauzera i dwadzieścia pięć sztuk amunicji. Przed wymarszem do lasu pomnożyliśmy nasz majątek o dalsze karabiny zdobyte w akcji na posterunek policji.

Skrzypnęły drzwi do sionki. Rozległo się charakterystyczne człapanie. To kroki „dziadka".

Naczłapał się „dziadek" Mazurkiewicz wokół swego skromnego dobytku, wokół chałupy, stodoły i obórki; naczłapał się wokół naszych spraw, gdy w charakterze nocnej „stróży" czuwał nad bezpieczeństwem zebrań lub podczas okresowych przeglądów broni i jej konserwacji, człapał wokół zagrody, aby w porę przestrzec o jakimkolwiek zagrożeniu.

„Dziadek" okazał się najroztropniejszy również wtedy, gdy postanowiliśmy opróżnić magazyn broni. Potrafił sprytnie ukryć na swoim drabiniastym wozie, pośród wiązek siana, wydobyte z naszego arsenału karabiny i skrzynki z amunicją. A jaki był rzeski, jak się żwawo poruszał.

Pod czujną obserwacją ubezpieczenia przedniego, bocznego i tylnego, powożony przez Dziadka wóz poturlał się polnymi drogami, popod wsią Tarnówek i majątkiem Wola Sienieńska w kierunku leśnictwa Zawały, gdzie został wyznaczony punkt zborny oddziału.

Na wozie, obok Dziadka przysiadł jego syn — Kazik. Ochrzciliśmy go kiedyś przezwiskiem Maszt i tak już pozostało. Nic zresztą chyba bardziej trafnego nie można było wymyślić. Kazik był długi i chudy. Przyzwyczaił się tak bardzo do konspiracyjnego pseudonimu, że nawet, zdarzało się, nie reagował na dźwięk własnego imienia. Byłby raz nawet przypłacił to życiem. Miał zadanie bronić przewożonego partyzanckiego mienia, a zarazem stanowił osobistą ochronę ojca. Uzbrojony był tylko w jeden granat i broń krótką. Wyruszyliśmy bowiem wczesnym popołudniem, słońce było jeszcze wysoko, a Niemcy pętali się po całej okolicy.

Edward i ja stanowiliśmy coś w rodzaju zwiadowczej szpicy, daleko wysuniętej do przodu. Mieliśmy oczyszczać teren przed ewentualnymi niespodziankami i ostrzegać „główne siły" w razie niebezpieczeństwa. W pewnej odległości od wozu maszerowała dyskretna eskorta. Trzy grupki po dwóch partyzantów, każda gotowa do obrony załadowanego na wozie dobytku i naszego kochanego Dziadka.

Do wsi Zawały i leśnictwa o tej samej nazwie dotarliśmy bez żadnych kłopotów jakkolwiek chłopcy przeżyli jeden dramatyczny moment, gdy furmance wypadło przejechać z góra pięćdziesiąt metrów od trzech hitlerowskich żołnierzy, którzy kosili trawę na łące. Oni wozem Dziadka, załadowanym sianem, nie zainteresowali się, my zaś pragnęliśmy uniknąć wszelkiej awantury. Powiedzieliśmy: żadnych starć w pobliżu wsi, w pobliżu ludzkich siedzib.

Dziadek zawrócił konie i uściskawszy nas po ojcowsku, uwolniony od niebezpiecznego ładunku pojechał do domu. Miał miękkie serce. Coś mu się tam w oku zaszkliło.

Pod lasem oczekiwaliśmy pozostałych towarzyszy, którzy nadchodzili na miejsce zbiórki w określonych odstępach czasu z regularnością chronometru.

Kmicic zdołał już powrócić z wyprawy zwiadowczej do Kuter, dokładnie spenetrował las i dukty prowadzące do kolejnego etapu naszej drogi. Oczekiwaliśmy już tylko Przełoma, inaczej Mietka, starszego brata Maszta. Denerwowaliśmy się. Według naszych założeń Przełom już dawno powinien być wśród nas. Nadciągał zmrok, czas dłużył się niepomiernie. Pamiętam, jak bardzo się wtedy niepokoiłem, chociaż Mietek uchodził w moich oczach za towarzysza genialnie zaradnego, znakomitego organizatora i bojowego partyzanta.

Nadjechał, oczywiście furmanką, zarekwirowaną, gdy było już zupełnie ciemno. Jak zwykle pełen humoru z pogodną i tajemniczą miną. Pod jego adresem posypały się cięte złośliwości kolegów. Śmiał się. Dobry humor po prostu go rozpierał.

— Chłopaki — zawołał — nie gniewajcie się. Miałem do załatwienia jedną drobną sprawę.

Zaczął rozładowywać z podwody jakieś toboły. Okazało się, że przed samym wymarszem Mietek dokonał indywidualnego wypadu do magazynu miejscowej placówki urzędu melioracyjnego. Ten zakrawający na zuchwalstwo akt dywersyjny miał być właśnie niespodzianką. Mietek postanowił ubrać nas w jednakowe „mundury". Właśnie to go dłużej zatrzymało, właśnie w tym celu złożył wizytę w magazynie i zabrał robocze kombinezony. Łatwo przewidzieć jak nas tym udobruchał. Zanim wdzialiśmy na grzbiety najprawdziwsze mundury wojska polskiego, które otrzymaliśmy ze zrzutu, co zdarzyło się parę tygodni później te kombinezony dobrze nam służyły w lesie.

Jego prezenty i jego zuchwalstwo bardzo mi się podobały, chociaż Edward zwymyślał go za niesubordynację.

Głęboką nocą, prowadzeni przez Kmicica dotarliśmy do Kuter. Mieszkańcy tej gajówki, przywykli do odwiedzin nocnych gości, serdecznie nas przyjęli. Na stole pojawiły się nawet znakomite pierożki z dziczyzny, których smak do dziś wabi i ilekroć jadam tę potrawę, na próżno poszukuję tego samego zapachu.

Nad łóżeczkiem śpiącej dziewczynki, czteroletniej albo pięcioletniej stanął Rozłucki. Przyglądał się małej. W pewnej chwili poruszyła się niespokojnie i na chwilę otwarła oczki. Zobaczyła obcą twarz. Uśmiechnęła się i zapytała ciekawie: „A cujki jeście wystawili"? Przewróciła się na drugi bok i spała smacznie dalej.

Bardzo nas ta mała rozbawiła.

Resztę nocy nasz oddziałek spędził w lesie, zaszyty w gąszczu, kilkadziesiąt metrów od zabudowań przemiłych gospodarzy Kuter. Kolejno zmieniały się warty. Rankiem zapakowaliśmy w worki i szmaty nasze ubrania a także dokumenty jeśli je ktoś jeszcze posiadał. Cały ten kompromitujący majdan ukryliśmy w schowku, pod spichlerzem. Przygotował te kryjówkę przed naszym przybyciem gajowy wraz z Kmicicem.

Stanęliśmy na zbiórce umundurowani w kombinezony dostarczone przez Mietka. Wygladaliśmy zupełnie przyzwoicie. Pierwszy rozkaz odczytał Edward. Staliśmy na baczność z kolbami karabinów przy prawej stopie.

Pamiętam, poczułem się tak jakbym utracił swoją osobowość. Nie mamy domów, nie mamy nazwisk. Naszą ojczyzną stał się las.

menty. I jeśli coś takiego się zdarza, nie jest to konsekwencją niedbałości pracy załóg, lecz takiej czy innej niedomogi w pośrednich ogniwach organizacyjnych.

4.

— Panie dyrektorze — pytam naczelnego dyrektora CONFEXIMU, magistra Józefa Skwierczyńskiego — Centrala wciąż rozszerza swoje strefy eksportowe, handluje na pięciu kontynentach, ale czy Polacy umieją handlować?

— Jeszcze jak! Nasi zagraniczni kontrahenci są zdumieni handlową obrotnością Polaków. Powołam się tutaj na opinię niewątpliwie największych autorytetów w tej dziedzinie — Libańczyków, Syryjczyków i Greków. Ich zdaniem Polacy handlują znakomicie, z polotem i bez schematów.

— Ilu pracowników zatrudnia CONFEXIM?

— 528. Z tej liczby 431 — to pracownicy wyłącznie operatywni.

— Ilu zagranicznych kontrahentów ma Centrala?

— Współpracuje z nami blisko 120 firm agencyjnych, rozsianych po całym świecie.

— Czy dużo kontraktów zawarliście w roku 1966?

— Dużo. I to korzystnych. Dokładnie 9054.

— Czy zechciałby Pan wymienić kilka większych firm Waszych zagranicznych kontrahentów?

— Na przykład firma Veil z Besançon, czołowy francuski producent i importer konfekcji, „Eaton" — wielki kanadyjski dom towarowy, albo takie znane firmy nowojorskie, jak „Hildary", „Gutman", „Sportware". Ale naszym najpoważniejszym kontrahentem jest radziecki „Raznoeksport", Wszechzwiązkowe Zjednoczenie Eksportowo-Importowe, największy w świecie importer konfekcji gotowej.

— Widziałem tu licznych cudzoziemców. Jak często odwiedzają biura Centrali?

— Przewija się tu rocznie około trzystu zagranicznych kupców. Liczba ta stale rośnie, wraz z rozwojem naszych kontaktów z zagranicą.

— Działanie mechanizmów Centrali jest bardzo skomplikowane, a przy tym musi być sprawne i szybkie. Przypuszczam, że czasem coś zgrzytnie w trybach i wtedy...

— Rozumiem. Tak, zdarza się. Radzimy sobie sami, mamy dobry i ofiarny zespół pracowników. W wypadkach, że użyję tego słowa — losowych, zawsze znajdujemy życzliwą i skuteczną pomoc i opiekę łódzkich instancji partyjnych, władz miejskich i naszego bezpośredniego patrona — Ministerstwa Handlu Zagranicznego. Sprawne funkcjonowanie tego delikatnego instrumentu, jakim jest handel zagraniczny leży nam bardzo na sercu, bowiem idzie tu już o sprawy znacznie szersze, niż CONFEXIM, bo o interesy i potrzeby naszego kraju.

— CONFEXIM prowadzi również import. Czy duży?

— Tak. Mamy coraz większy wpływ na zaopatrzenie rynku wewnętrznego w tekstylne wyroby gotowe. Centrala Tekstylno-Odzieżowa określa stopień przydatności poszczególnych wyrobów dla potrzeb naszego rynku wewnętrznego, zaś CONFEXIM dokonuje skomplikowanych manipulacji importowych i rozliczeń pieniężnych.

5.

Zbierając materiał dziennikarski do niniejszego artykułu usłyszałem opinie, które można by ująć w jednym zdaniu: Centrala mogłaby pracować efektywniej, gdyby... Gdyby co? Nie relacjonując zasłyszanych sądów moich rozmówców, sformułuję nasuwające się postulaty:

- Unowocześnić, polepszyć jakość i rozszerzyć asortyment dodatków do eksportowanej konfekcji — guzików, zamków błyskawicznych, tasiemek, gumek, klamerek, etykietek i jeszcze mnóstwa innych drobiazgów. Jak, na przykład, do czerwonej bluzeczki przyszyć zamek błyskawiczny na, powiedzmy, czarnej tasiemce?...
- Produkować bardziej estetyczne, bardziej pomysłowe, trwalsze i lepszej jakości opakowania na eksportowane wyroby. Zagraniczni kupcy nieustannie sygnalizują złą jakość opakowań. Nawet diament w brzydkiej oprawie traci na wartości...
- Usprawnić procesy kopiowania wzorów, nadsyłanych do Centrali od zagranicznych kontrahentów. Cykl produkcyjny trwa zbyt długo, zniechęca kupców i powoduje straty...
- Uelastycznić i skrócić w czasie cykle produkcyjne eksportowanych wyrobów. Powinny trwać maksimum od 6 do 8 tygodni...
- Stworzyć szersze możliwości upłynniania na rynku wewnętrznym wysokogatunkowych odrzutów eksportowych. Centrala Handlu Wewnętrznego na ogół niechętnie przyjmuje takie odrzuty, choć wiadomo, iż szybko znajdują one nabywców. Natomiast bez żadnych oporów przyjmuje je „Samopomoc Chłopska" i szybko sprzedaje za pośrednictwem swych placówek handlowych. Tu tajemnica się wyjaśnia, dlaczego podczas urlopów, spędzanych z dala od większych miast, można nabyć poszukiwaną i znakomitą konfekcję polską z odrzutu, z minimalnym brakiem...

I wreszcie sumaryczny wniosek: Spełnienie tych postulatów, w miarę możliwości szybkie i radykalne, zwiększy operatywność CONFEXIMU i podniesie jego opłacalność eksportową.

A przecież o to chodzi.

WŁODZIMIERZ STOKOWSKI

IZAAK BABEL

Elia Izaakowicz i Margarita Prokofiewna

Gerszkowicz wyszedł od nadzorcy z ciężkim sercem. Powiedziano mu, że jeżeli nie wyjedzie z Orła pierwszym pociągiem, zostanie odtransportowany. A wyjechać — znaczyło stracić interes.

Z teczką w ręku, wychudły, szedł wolno ciemną ulicą. Na rogu zawołała na niego wysoka kobieta:

— Wstąpisz, kochanie?

Gerszkowicz uniósł głowę, a jego okulary błysnęły, kiedy spojrzał na nią, pomyślał i odpowiedział krótko:

— Wstąpię.

Kobieta wzięła go pod rękę. Skręcili za róg.

— Dokąd pójdziemy? Do hotelu?

— Na całą noc, z tobą — odpowiedział Gerszkowicz.

— To będzie kosztowało trzy ruble, ojczulku.

— Dwa — powiedział Gerszkowicz.

— Nie dogadamy się, ojczulku...

— — — — — — — —

Zgodzili się na dwa i pół. Poszli dalej.

Pokój prostytutki był nieduży, czysty, z podartymi firankami i różową lampą.

Gdy weszli, kobieta zdjęła płaszcz, rozpięła bluzkę... i mrugnęła.

— E — Gerszkowicz spochmurniał — co za głupota.

— Złościsz się, ojczulku.

Usiadła mu na kolanach.

— Moja droga — powiedział Gerszkowicz — pani chyba waży pięć pudów.

— Cztery trzydzieści.

Z cmoknięciem pocałowała go w siwiejący policzek:

— E — Znów nachmurzył się Gerszkowicz — zmęczony jestem, chcę spać.

Prostytutka wstała. Jej twarz zrobiła się nieprzyjemna.

— Jesteś Żydem?

Spojrzał na nią przez okulary i odrzekł:

— Nie.

— Ojczeńku — wolno powiedziała prostytutka — to będzie kosztowało dziesiątkę.

Wstał i ruszył w stronę drzwi.

— Piątkę — powiedziała kobieta.

Gerszkowicz wrócił.

— Pościel mi — powiedział zmęczonym głosem Żyd. Zdjął marynarkę i rozejrzał się, gdzie ją powiesić. — Jak ci na imię?

— Margarita.

— Zmień pościel, Margarita.

Łóżko było szerokie, z miękką pierzyną.

Gerszkowicz zaczął powoli się rozbierać, zdjął białe skarpetki, rozprostował spocone palce nóg, zamknął drzwi na klucz, wsunął go pod poduszkę i położył się. Margarita, poziewując, bez zbytniego pośpiechu zdjęła sukienkę, spojrzała z ukosa, wycisnęła pryszczyk na ramieniu i poczęła zaplatać na noc cieniutki warkoczyk:

— Jak masz na imię, ojczulku?

— Eli, Elia Izaakowicz.

— Handlujesz?

— Nasz interes... — wymijająco odpowiedział Gerszkowicz.

Margarita zdmuchnęła lampkę i położyła się.

— Moja droga — rzekł Gerszkowicz. — Tłustaś.

Wkrótce zasnęli.

Rano jaskrawe słoneczne światło zalało pokój. Obudził się Gerszkowicz, ubrał, podszedł do okna.

— U nas morze, u was pole — powiedział. — Ładnie.

— Skąd jesteś? — spytała Margarita.

— Z Odessy — odparł Gerszkowicz. — Najlepsze miasto, dobre miasto. — I chytrze się uśmiechnął.

— Tobie, jak widzę, wszędzie dobrze — powiedziała Margarita.

— To prawda — rzekł Gerszkowicz. — Wszędzie dobrze, gdzie są ludzie.

— Jakiś ty głupi — powiedziała Margarita unosząc się na łóżku. — Ludzie są źli.

— Nie — powiedział Gerszkowicz — ludzie są dobrzy. Ich nauczono myśleć, że są źli, a oni uwierzyli.

Margarita pomyślała, uśmiechnęła się.

— Jesteś interesujący — powiedziała powoli i przyjrzała mu się uważnie.

— Odwróć się. Chcę się ubrać.

Potem jedli śniadanie, pili herbatę z obwarzankami. Gerszkowicz nauczył Margaritę smarować chleb masłem i w specjalny sposób kłaść na wierzch kiełbasę.

— Proszę spróbować, a ja, niestety, muszę jechać.

Wychodząc Gerszkowicz powiedział:

— Niech pani weźmie trzy ruble, Margarito. Proszę mi wierzyć, nawet kopiejki nie ma gdzie zarobić.

Margarita uśmiechnęła się.

— Ty sknero. Dawaj trzy. Przyjdziesz wieczorem?

— Przyjdę.

Wieczorem Gerszkowicz przyniósł kolację — śledzia, butelkę piwa, kiełbasę, jabłka. Margarita była ubrana w ciemną gładką sukienkę. Jedząc rozmawiali.

— Pięćdziesiąt rubli na miesiąc to za mało — mówiła Margarita. — W mojej robocie jak się źle ubierzesz, to nawet na kapuśniak nie wystarczy. Za pokój płacę piętnaście, zrozum...

— U nas w Odessie — odparł Gerszkowicz w zamyśleniu z wysiłkiem krojąc śledzia na równe części — za dziesięć rubli miałaby pani na Mołdawance królewski pokój.

— Weź pod uwagę, że ludzie do mnie przychodzą, a i pijanego też się nie ustrzeżesz...

— Każdy człowiek ma swoje kłopoty — rzekł Gerszkowicz i opowiedział o swojej rodzinie, o niepowodzeniu w interesach, o synu, którego wzięli do wojska.

Margarita słuchała z głową ułożoną na stole, a twarz miała skupioną, spokojną i zamyśloną.

Po kolacji, zdjąwszy marynarkę i przetarłszy dokładnie okulary kawałkiem sukna, usiadł przy stoliku i przyciągnąwszy do siebie lampę, zaczął pisać handlowe listy. Margarita myła głowę.

Pisał Gerszkowicz nie śpiesząc się, uważnie, unosząc brwi, czasem zamyślał się i maczając pióro ani razu nie zapominał strząsnąć z niego zbędny atrament.

Skończywszy pisać, posadził Margaritę na księdze kopii.

— Pani ma swoją wagę. Proszę posiedzieć, Margarito Prokofiewna, bardzo proszę.

Gerszkowicz uśmiechnął się, okulary błysnęły i jego oczy zrobiły się błyszczące, malutkie, roześmiane.

— — — — — — — —

Następnego dnia wyjeżdżał. Spacerując po peronie na kilka minut przed odejściem pociągu Gerszkowicz dostrzegł Margaritę prędko idącą w jego kierunku z małą paczuszką w rękach. W paczuszce były pierożki i tłuste plamy od nich przeszły na papier.

Twarz Margarity była czerwona, mizerna, pierś unosiła się szybko.

— Proszę pozdrowić Odessę — powiedziała — proszę pozdrowić...

— Dziękuję — odparł Gerszkowicz. Wziął pierożki, uniósł brwi, pomyślał o czymś i przygarbił się.

Zabrzmiał trzeci dzwonek. Podali sobie ręce.

— Do widzenia, Margarito Prokofiewna.

— Do widzenia, Elio Izaakowiczu.

Gerszkowicz wsiadł do wagonu. Pociąg ruszył.

Tłumaczył: Roman Gorzelski

Rys. M. Chagall

Witold Wandurski w karykaturze.

HELENA KARWACKA

O sporze Wandurskiego z Broniewskim

Utrwalony w literaturze znakomitym lirykiem Broniewskiego „Przyjacielu, los nas poróżnił..." spór poetów wynikał z różnicy poglądów na rolę i zadania literatury w rewolucyjnym ruchu, postawę twórcy wobec otaczającej rzeczywistości i walki proletariatu, które każdy z nich pojmował inaczej.

W obu tych wypadkach Wandurski reprezentował stanowisko „skrajne", nakładając tak na literaturę, jak i twórcę obowiązek bezpośredniego, politycznie zaangażowanego udziału w owej walce. Swoje na ten temat poglądy wyłożył w obszernych listach, które pisał do przyjaciela na początku 1926 roku. W najważniejszym z nich, napisanym 22 stycznia tego roku, przedstawił swoje „credo" pisarza i działacza, oznajmiając Broniewskiemu o ważnej decyzji „czynnego" wejścia do ruchu robotniczego oraz charakteryzował ich dotychczasową postawę i określał obowiązki. Pisał o tym:

„Jeżeli dziś nie piszę wierszy, powieści, dramatów ani „kulturalnych", ani „rewolucyjnych" artykułów — to po prostu dlatego, że sprawia mi to za wiele trudności, a daje bardzo „mikry" rezultat. A to znów dlatego, że po rewizji dokładnej swego bagażu duchowego, przekonałem się, że nie wszystko u mnie — **i nie tylko u mnie** — w porządku. Po prostu brak mi wiedzy i d o j r z a ł o ś c i przemyśleń. Jedno i drugie jest do nabycia. Ale nabywa się to w **pracy czynnej**, w walce — nie zaś w kontemplacji: rozleniwionej, w szufladzie własnego pokoju, przy biurku. Przynajmniej dla natur takich jak ja — agresywnych i niespokojnych — jest to jedyna **droga.**

Mówisz o jakimś „niebezpieczeństwie", o tym że podporządkowanie ludziom [...] może mnie wyniszczyć wewnętrznie bardzo prędko. Zastanowiłem się nad tym — i przyszedłem do wniosku, że to tylko samostwierdzenie. Przede wszystkim podporządkowuję się nie „ludziom" a sprawie, wchodzę czynnie do ruchu robotniczego, [...] ruch wyklucza h i e r a r c h i ę, a uznaje współzawodnictwo nie na solidarności towarzyskiej oparte, współzawodnictwo regulowane wspólnotą celu.

Jeśli jest kiepsko na odcinku pracy kulturalnej ruchu robotniczego w Polsce — to musi być lepiej: i moim, jak i twoim — jak i Staszka — obowiązkiem jest — **i ambicją** — uczynić ten ruch mocnym i wartościowym. Ale to możliwe jest tylko wówczas, gdy się człowiek naszego typu (zaśniedziały i uparty „indywidualista") całkowicie i bez zastrzeżeń podporządkuje **ogólnym** wytycznym, ogólnej dyscyplinie, gdy się zapozna dokładnie z programem i metodą pracy, gdy stanie się członkiem czynnym ogólnego ruchu — **i dopiero wtedy ma prawo być w opozycji**, oczywiście natury taktycznej względnie merytorycznej. Opozycja **taka** może być **twórcza.**

Dzisiejsze nasze „niezależne duchowo" stanowisko jest tylko zamaskowanym oportunizmem duchowym, brakiem decyzji, niechęcią do dyscypliny, wygodnictwem, **ugodą...** Tak, ugodą! Bo jak nazwać nasze stanowisko w „świecie literackim", w tym półświatku rozmaitych „Wiadomości", „Skamandra" itp. — przed wydaniem „Trzech salw"? Byliśmy tam „w lewym skrzydle", stanowiliśmy parlamentarną (o, jakże parlamentarną i dyplomatyczną!) „opozycję" — ale, mimo wszystko, byliśmy tam „swoi", nie tak znów niebezpieczni, bo jeszcze nie zakuci „abstrakcyjnym bretnalem materializmu". Można się było z nami jakoś „dogadać"... A dziś jest ze mną tak, że już się z tym światem „dogadać" nie mogę. [...] Jak sam się z każdym dniem przekonywasz — **nie ma tam życia.** Wszystko, co ciekawe, ma zabarwienie negatywne, negujące dotychczasowe „credo", czyli — w mniejszej lub większej mierze rewolucyjne. Lecz na samej tylko negacji daleko nie zajedziesz. Dwie drogi prowadzą do negowania rzeczywistego stanu rzeczy: w przeszłość i przyszłość, do katolicyzmu i do komunizmu. Cała nasza „swoboda", nasza „niezależność" polega na **wolności wyboru** — nic więcej. Trzeba nam na razie wybrać jeden z biegunów — i wokół tego bieguna oscylować. Wszystko inne — to samooboluda, resztki przesądów romantyczno-literackich, buntowanie się „poetyckiego indywidualisty". [...].

Ja chcę **treści.** Chcę **życia.** Wiedzy. Radości — radości, radości bezpośredniej! Z jaką przyjemnością wróciłem teraz do koryta tej rzeki, którą płynąłem mając lat 17—19! Znów się zabrałem do **wiedzy,** do nauki — i chłonę chciwie wszystko, co ma styczność z socjologią, z elektroniką, z techniką — słowem z t e r a ź n i e j s z o ś c i ą i przyszłością. Innymi oczyma patrzę teraz na te broszurki i książki, które odłogiem leżały przez tyle lat na moich półkach. Ja się **uczę.** Ja chcę być prawdziwym **futurystą** — a to możliwe tylko na podłożu wiedzy socjalno-technicznej.

Piszesz: gdzie nowa estetyka, prawo, etyka? Gdzie? W naszej głowie — i w samym **działaniu. My** musimy je tworzyć — przez kontakt bezpośredni z ruchem robotniczym. Jako zwykli żołnierze walki klasowej. Tak. Bo teraz trudniej, niż kiedykolwiek, wejść po uszy w ruch robotniczy. Ruch ten jest niemrawy przytłumiony, ospały. Robota w związkach — wcale nie „poetyczna" i prowadzenie ksiąg kasowych i protokółów, zagajanie zebrań, „akcja" bezrobotnych itp. A jednak — trzeba to robić. [...] Z tych pobudek zdecydowałem się wziąć bezpośrednio do „nudnej" pracy od kilku dni jestem już formalnie sekretarzem związku skórzanego — związku budowlanego — dwóch najbardziej „czerwonych". I czuję się świetnie.

Piszę — ale protokoły i listy do centrali, w sprawach zatargu o lokal, o defraudację pieniędzy związkowych itp. Miewam „prelekcje" — ale o sytuacji „w przemyśle", i „o organizacji". Śmiejesz się i krzywisz — ale nie święci garnki lepią. Jak umiem — tak robię. Robiąc — nauczę się myśleć, działać, **widzieć,** czuć... Będę miał „materiał" na przyszłość. Najpiękniejsze lata swego życia łączę z r. 1917—1920, czyli z okresem rewolucji. Ona to właśnie zbudziła mnie do życia, do myślenia, **do pisania** wreszcie... Bez zastrzeżeń wlażę więc w rewolucję" (podkreślenia W. Wandurskiego).

Broniewski, po latach, na zamanifestowaną tu postawę przyjaciela odpowie piękną strofą:

Wiem, na diabła ci być poetą,
ćwierkającym lirycznie
świerszczem:
stopy parzy ci łódzki beton,
Każdy krok w twoim dniu jest
wierszem.

Dyskusja między poetami dotyczyła wielu złożonych i niełatwych do rozstrzygnięcia problemów, dotykała spraw, które się dopiero rodziły i kształtowały. Jak wynika z listu Broniewski **mówił o** braku

POLONICA

WIERSZE POLSKIE W CZECHOSŁOWACJI

Czechosłowackie czasopisma literackie poświęcają sporo uwagi polskiej poezji. „Slovenske Pohlady" — miesięcznik literacko-naukowy wychodzący w Bratysławie zamieścił w numerze z br. przekład kilku wierszy Bolesława Faca, poety mieszkającego w Gdańsku. Dotychczas wydał on tomiki poezji: Gotyk dźwięku, Definicje osobiste. Analogie oraz tom prozy pt. Ucieczka niedaleko. Przekładu wierszy Faca na słowacki dokonał Vlastimil Kovalcik.

„Plamen" — miesięcznik Związku Pisarzy Czechosłowackich wychodzący w Pradze, zamieścił w numerze 2 z br. przekład kilku wierszy Mariana Grześczaka (tłumaczył Odrich Rafaj) z notką bibliograficzną (sekretarz redakcji miesięcznika „Poezja" należy do czołówki nowoczesnych poetów polskich, debiutował w almanachu „Wierzbak", wydał tomy poetyckie „Lumpenpoezja", „Wyjście z pozorów", „Pożegnanie z Norymbergą". Swoją poezję często recytuje sam na estradzie).

W tym samym numerze „Plamen" publikuje trzy wiersze Stanisława Grochowiaka w przekładzie Frantiska Janoucha. Widać czytelnikom miesięcznika Grochowiak jest dobrze znany, bo notki biograficznej nie ma.

(w)

SZMAGLEWSKA PO HOLENDERSKU

Willem A. Maijer, popularyzator i entuzjasta literatury polskiej w Holandii, przetłumaczył ostatnio książkę Seweryny Szmaglewskiej „Zapowiada się piękny dzień" (Het wordt een mooi dag) jako dalszy ciąg „Dymów nad Birkenau" (Rook boven Birkenau). Obydwa tomy ukazały się w starannej oprawie graficznej nakładem wydawnictwa WEST FRIESLAND.

ANKIETA

Tygodnik „Volksarmee" w NRD rozpisał ankietę, jaką powieść uważają oficerowie i żołnierze za swą ulubioną lekturę. Było 4 tysiące odpowiedzi. W pierwszej dziesiątce tytułów znalazła się książka Bohdana Arcta — „Kamikaze". Poza nią „Nie każdy rodzi się żołnierzem" Simonowa, „Aula" H. Kanta, „Synowie i wilki" F. Selbmanna i inne.

POLONICA

KONRAD FREJDLICH

Nowa proza Czernika

Pisarski dorobek Stanisława Czernika jest tak wielki i tak wszechstronny, że w żadnym wypadku nie mogę się podjąć choćby próby umiejscowienia najnowszej książki *) tego autora w całokształcie jego twórczości. Stwierdzając własną w tym zakresie niemoc wyrażam jednocześnie żal pod adresem badaczy literatury współczesnej, że do tej pory nie otrzymaliśmy od nich monografii tego pisarza, którego witalizm, skala zainteresowań, i benedyktyńska praca wzbudzają szacunek i zazdrość nas, młodych.

Czernik ma słuch, dzięki któremu kadencja zdań jego prozy stopniem umuzycznienia i zrytmizowania zbliża się do granicy wymagań jakie stawia się za zwyczaj mowie wiązanej, ma też subtelny dar postrzegania, którym potrafi dojrzeć „ciszę butów po spalonych ludziach". To cytat z motta do tytułowego opowiadania tomu bliskiego swoją filozoficzną wymową wydanej trzy lata temu „Nowinie". Jak tam przewija się przez karty książki motyw utraconego raju, tęsknota za pradawnością, od której ludzkość tak dalece odeszła.

Symbolem wzorca etycznego godnego upowszechnienia na całej ziemi jest kodeks moralny Agu-Agu, jakiegoś szczepu Pigmejów, który za najwyższą wartość uznaje unikanie krwawej walki i mordu. Krwawa walka i mord, to w ujęciu pisarza, zjawiska tożsame, największe zło jakie wymyślił rodzaj ludzki. Dlatego też misjonarz Chamsky którego losy spinają trzy odrębne opowiadania tomu, mówi o Pigmejach: „Przez uniknięcie najgorszego zła, jakie może człowiek popełnić, dostąpili największego ludzkiego dobra, które ośmielam się nazwać najwyższym stopniem kultury. Ich dzikość nie jest dzikością. Pragnąłbym, żeby taką dzikością odznaczał się cały ludzki ród".

Czernik lubuje się w alegoriach poprzez które, podobnie jak poprzez język, nadaje swojej prozie jakiś baśniowy klimat, wszystko dzieje się na granicy snu. Agu-agu to tak że roślina, „kwiat wyrastający z pnia o łokieć zaledwie od korzeni, o kilka czy kilkanaście łokci poniżej „normalnych" kwiatów". Trzewiczek z tytułowego opowiadania, dziecięcy biały bucik z wyszytą lilijką, jest konkretnym przedmiotem z cmentarzyska obuwia w hitlerowskim obozie koncentracyjnym, ale jest równocześnie, jak powiada sam pisarz widmem, które „może przemienić się w rodzaj mitu sakralnego, mitu trzewiczka z niebieską lilijką. A to niedobrze, to za mało, jeżeli ma być istotną, ludzką wiernością". Gruszka przyjęta niegdyś przez rosyjskiego naukowca od siedmiu po hitlerowskim zbrodniarzu, mordercy syna tegoż profesora, zamienia się potem w Gruszkę, dziecko poczęte przez sierotę jako symbol pojednania. Zjawia się także bliźniaczki Trzewiczki, widomy dowód zwycięstwa życia nad śmiercią.

Powiedziałem: trzy odrębne opowiadania, w rzeczywistości zaś wiąże je ten sam motyw, ten sam protest przeciw wojnie, ta sama troska i niepokój o przyszłość świata, który dziś człowiek zdolny jest unicestwić a „któż zaręczy, czy poza naszą Ziemią, wśród nieskończonej ilości światów, istnieje choćby jedno jabłko!" Momentami proza Czernika zbliża się do eseju, żeby nie powiedzieć traktatu moralnego, ale propozycje intelektualne pomimo krzepiącego motywu przedanimi tów pozostawiają jakiś niedosyt, pseudonimacja jest zbyt daleko posunięta. O wiele silniej przemawia mi do wyobraźni konkret, choćby nawet ubrany w alegorię, która często jest tłem, na którym dostrzec można problem w całych rozmiarach. O funkcjach tych alegorii wiele się zresztą można rozwodzić.

Za najciekawszy utwór tomu uważam opowiadanie „Trzewiczek". Opowiadaniu „Agu-Agu" sam autor zbyt wyraźnie nadał charakter introdukcji, w jego blasku tym silniej błyszczy utwór tytułowy. „Afazji" wreszcie przede wszystkim dotyczy zarzut zbytniej pseudonimacji. Może zresztą to moje wrażenie bierze się z nadmiaru wątków z których Czernik utkał to opowiadanie, gdzie jak w tyglu wymieszane są obłoczki upostaciowań z sennej opowieści misjonarza Chamsky'ego, polscy przodkowie Amerykanina Predeckiego — Przeździeckiego śmiertelna niemota Anny, która w decydującej sekundzie mogła jeszcze wykonać ręka zamykający znak koła.

Pisano gdzieś, że proza Czernika przeciwstawia się rzeczywistości. Ona się nie przeciwstawia, ona ją tworzy.

*) Stanisław Czernik: „Trzewiczek". Ludowa Spółdzielnia Wydawnicza 1967, str. 173, cena 10 zł, nakład 7000 egz.

STEFAN LICHAŃSKI

W poszukiwaniu nowego lądu

Poezji prozą nie należy mylić z prozą poetycką. Dla drugiej z nich sprawą najważniejszą jest osiągnięcie maksimum sugestywności emocjonalnej. Odrzuca się w jej wypadku miary i normy mowy wiązanej, aby nic nie stało na przeszkodzie swobodnemu wypowiadaniu się gry uczuć, kształtowaniu się nastrojów; aby nic nie ograniczało nie skrępowanej płynności narracji, rozczłonkowanej akcentacji uczuciowa na frazy w znaczeniu niemal muzycznym. Najistotniejsza dla prozy poetyckiej jest właśnie ta osnowa muzyczno - emocjonalna; obraz i zawartość pojęciowa stanowią tkany na niej haft, ograniczone jej specyfiką, do niej przystosowane i możliwie najściślej z nią zharmonizowane. Poezja proza natomiast podlega normalnym rygorom prozy. Nie o muzyczne rozkołysanie chodzi w niej przede wszystkim, ale — przeciwnie — o zorganizowany wyraźnie i dobitnie obraz (w znaczeniu jak najszerszym, niekoniecznie wizualnym). Element muzyczno - nastrojowy, jeśli w ogóle w niej występuje, gra rolę wtórną. Poezja musi tu wytrysnąć ze znaczenia obrazu, z dialektycznej gry elementów treściowych. Biorąc rzecz od strony tekstu, musi być zapisana — zgodnie z popularnym powiedzeniem — „między wierszami". Podanie jej wprost będzie w tym wypadku zepsuciem efektu. To ma być krótkie spięcie, wywołane samym zestawem elementów ściśle prozatorskich, gdy się je bierze każdy z osobna — całkiem apoetyckich.

Wprowadzam ten wstęp, przydługi może i nieco przeciężki, jak na zwykłą recenzję, z tego powodu, że wypadło mi pisać o książce raczej niezwykłej. Bo oto Tadeusz Gicgier, poeta, występuje z tomem poezji prozą, a więc tomem należącym w naszej literaturze do zjawisk bardzo rzadkich. Proza poetycka — o tak! Tej mieliśmy pod dostatkiem — od czasów baroku po dzień dzisiejszy. I nic w tym dziwnego. Jest to bowiem forma wypowiedzi giętka, podatna, zdolna przystosować się do bardzo różnorodnych treści, a pozostawiająca pisarzowi wiele swobody. Poezja proza jest trudniejsza — jak w ogóle sztuka pięknego pisania proza. Tu trzeba nie tylko umieć odnaleźć w niepoetyckiej materii utworu lirycm potencjalny, ale również utrzymać go w stanie potencjalnym — aż do momentu lirycznej eksplozji, wywołanej odpowiednią konstrukcją całości.

Nie twierdzę, że książka Giegiera aż huczy od takich eksplozji, ale przeczytajmy takie poematiki, jak np. „Starzec", „Winowajca", „Tancerka", „Sobowtóry" „Podstęp", a łatwo dostrzeżemy jak obraz-opis przeobraża się w obraz-wizję, jak poustawiane rzadkiem konstatacje, całkiem zwykłe i codzienne, dają — wzięte razem — nie mechaniczną składankę, ale całkiem nową, mocno niekiedy skomplikowaną strukturę znaczeń. Weźmy tu dla przykładu poematik „Zwyczaj".

Szedłem drogą prowadzącą do wsi. Mym krokom towarzyszył suchy chrobot: był to odgłos deptanego żwiru zmieszany z odgłosem, jaki wydają deptane zwiędłe liście kasztanów. Zasłuchany w te dźwięki nie spostrzegłem, że naprzeciw mnie idzie starzec — usłyszałem dopiero jego „dzień dobry". Odpowiedziałem skwapliwie na to pozdrowienie — piękny pradawny zwyczaj, tak wzgardzony w miastach, gdzie na ulicy uciekamy często w bok wzrokiem, by z tych czy innych przyczyn nie pozdrowić znajomych. Tu na wiejskiej drodze starzec uchylił słowiańskiej czapki i pozdrowił nieznajomego".

Rozczłonkowując ten utwór na pojedyncze zdania i obrazy, odczytamy go jako dość zdawkową impresję: ot taki sobie obrazek z życia, uzupełniony refleksją na temat grzeczności i jej pożytków. Ujmując go jako strukturę całościową, jako realizację wizji o charakterze docelowym, spostrzeżemy, że chodzi tu o coś innego: o kwestię postawy zamkniętej, egocentrycznej i otwartej, ekstrawertycznej, nastawionej na kontakt z otoczeniem. Nie o obronę zwyczaju — choćby najpiękniejszego — samego w sobie tu idzie, ale o humanistyczny, moralny jego sens, o „gest wewnętrzny", wyrażający się przestrzeganiem tego zwyczaju. Wszystkie elementy fabularne utworu układają się teraz w inny, nie mechaniczny, ale merytoryczny porządek i spoza ich znaczenia dosłownego wychyla się znaczenie symboliczne. To znaczenie wszakże konstytuuje dopiero wymowa całości — inaczej niżeli w wierszach symbolistów. Wiemy, że w tego rodzaju wierszach róża, lilia, korona, cierń, puchar nie są nazwami konkretnych przedmiotów, lecz określeniami symbolicznymi. Gdybyśmy natomiast analizując „Zwyczaj" zaczęli się zastanawiać, „co autor miał na myśli" mówiąc o żwirze czy o czapce, zabrnęlibyśmy w ślepy zaułek najfałszywszej pod słońcem egzegezy. Utwory Giegiera trzeba czytać tak, jak są napisane, byle nie poprzestać na samym odczytywaniu słów, ale dotrzeć do wyrażonej nimi intencji.

Intencję tę zresztą autor wypowiada czasem, choć nie bezpośrednio, kiedy — jak np. w poemaciku „Gonitwa" — realistyczną opowieść ujmuje w konstrukcyjną klamrę dwu korespondujących ze sobą metaforycznych obrazów gonitwy po śniegu. Więcej takich ujęć mocno nasyconych liryzmem, znajdziemy w pierwszym z dwu składających się na książkę cyklów, zatytułowanym „Strefa pamięci". Cykl drugi („Ze szkicownika") zawiera utwory o charakterze bardziej zobiektywizowanym. Wynika to z faktu, że pierwszy osnuty jest na wspomnieniach osobistych, na fragmentach — rzec by można — prywatnego pamiętnika autora, drugi natomiast — to już raczej realizacja świadomie przyjętego zamierzenia. Powstawał on też chyba później, gdyż znać w nim większą pewność ręki, śmielsze operowanie materiałem. Wyraźnie przełamuje tu autor kryptoliryzm osobistych wspomnień i wyznań na rzecz zobiektywizowanej, rzeczowej i chłodnej w swym męskim opanowaniu mikroepiki. W pierwszym cyklu znajdujemy więcej utworów, które wzruszają, w drugim więcej świadczących o osiągnięciu godnej szacunku dyscypliny artystycznej.

Jeżeli punktem wyjścia byłyby nawet dla Giegiera inspiracje czerpane z takiego mistrza poezji prozą jak Turgieniew (na związki z nim wskazuje już choćby tytuł tomu: „Gorzkie wody" przywodzące na pamięć „Wiosenne wody" rosyjskiego pisarza), to jednak nasz poeta ustrzegł się wtórności i naśladowniczego stylizatorstwa. Jego książka jest żywa, trudno czytać ją bez zainteresowania i bez wzruszenia. Jest ona poza tym interesującą próbą pisarską: zamiast „unowocześniać" swoją poezję ma maksymalnym udziwianiem i komplikowaniem form wypowiedzi, Giegier — sięgnąwszy po formę już znaną usiłuje wykorzystać ją zgodnie z nowoczesną tendencją do zacierania granic między rodzajami i gatunkami literackimi. Dąży do depoetyzacji, do „odładnienia" wypowiedzi poetyckiej nie przez wulgaryzmy językowe i dysharmonie kształtu zewnętrznego, ale przez erozję materii lirycznej, przez zmuszenie jej do podporządkowania się rygorom prozy narracyjnej. Zamiast umyślnej destrukcji daje próbę konstrukcji, nowego ładu. Że konstrukcja ta sięga po środki wyrazu już znane? Cóż w tym złego? Za czasów Turgieniewa pisanie poezji prozą było kaprysem (genialnym kaprysem — dodajmy) wielkiego pisarza, wydarzeniem wszakże w całości ówczesnego życia literackiego marginalnym. W dobie wielkiego fermentu i niewystarczalności form do tychczas ukształtowanych ten sam eksperyment nabiera innego znaczenia: staje się krokiem naprzód w szukaniu nowego ładu, na którym pewną stopą mogłaby stanąć muza dzisiejszej poezji.

Tadeusz Giegier: Gorzkie wody. Łódź 1967, Wydawnictwo Łódzkie, s. 156, Cena zł 10.

Z FOTOGRAFIKI CZESKIEJ

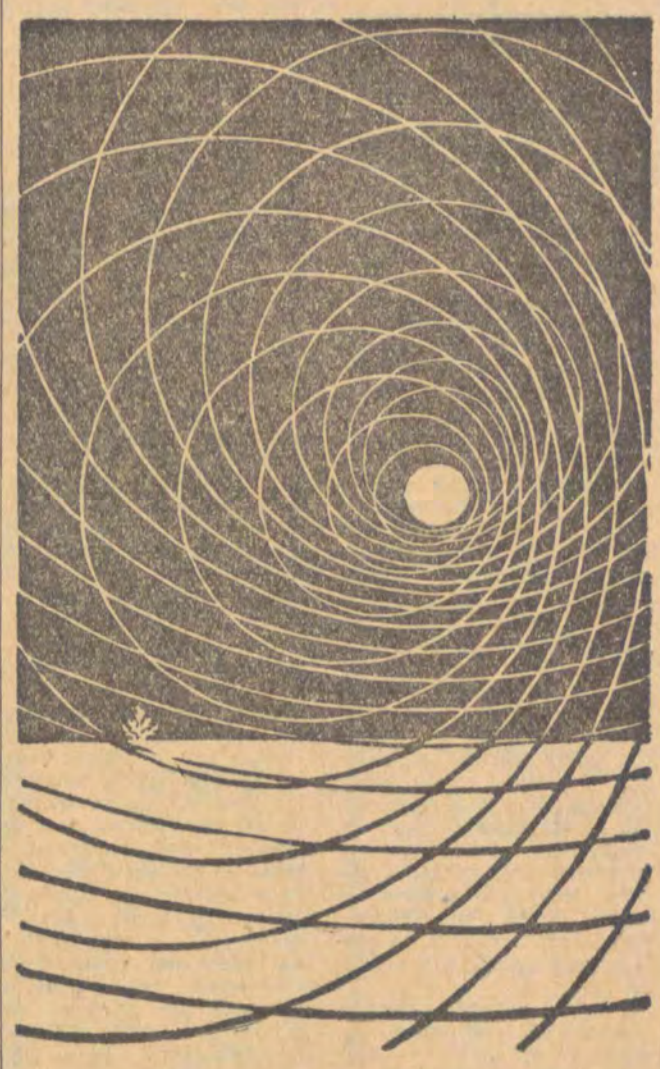

Orest Dubay: Słońce, 1966

„nowej etyki, prawa, estetyki", co Wandurski rozstrzygał w sposób zbyt pochopny i pozbawiony wahań, zakładający pewne uproszczenia. Uznawał konieczność „chwilowego" przyjęcia „pewnych dogmatów [...] w imię t a k t y k i, w imię sprężystości ruchu i karności organizacyjnej". Dowodził, że „uproszczenia są konieczne", ponieważ „ułatwiają działanie". „Później – pisał – gdy minie ostry moment walki – przyjdzie czas na „krytyczny krytycyzm", na wszystkie „rewizjonizmy" – słowem wolne hasanie myśli. Dziś daje taką „wolność" tylko bałagan myślowy. [...] Co wart – argumentował – tzw. „talent", co warta cała ta chuchana i dmuchana na różne sposoby i pod różnymi pretekstami „niezawisłość duchowa", gdyby czasowa mobilizacja, czasowe powołanie „ducha" pod broń – na wojnę z „wolnymi" – mogło ów „talent", ową „niezawisłość duchową" zniszczyć? Nie, bracie – n a t y l e wierzę w siebie! Wiem, że w y ł a m a ć się zawsze potrafię. Natomiast nie tak znów łatwo zmusić tego anarchistycznego raroga, którego każdy z nas nosi w sobie – do karności, do dyscypliny, do służby twardej" (list z 22 I 1926).

Wandurski zafascynowany czynną działalnością na tej drodze widział możliwość rozwiązania wielu problemów. Broniewski natomiast zdawał sobie sprawę z konieczności przemyślenia, uporządkowania i przedyskutowania pewnych zagadnień, zbyt nowych i skomplikowanych, by rozstrzygać je nagle i pośpiesznie. Na gorącą agitację przyjaciela odpowiadał: „bliższe mi są jednak zagadnienia doskonałości myśli, które warunkują doskonałość wykonania". Wandurskiego ta postawa nie przekonywała. W sporze starły się wyraźnie dwa odmienne temperamenty, dwie indywidualności niemało zaważyły tu różnice życiowych doświadczeń, warunków i otoczenia, w których żyli. Janina Broniewska pisała o tym: „Nie ze złej woli brał początek, lecz z różnic biografii, tradycji wyniesionych z dzieciństwa czy po prostu z sekciarskiego neofistwa poszczególnych towarzyszy wspólnej przecież walki".

Trudno w tym sporze odmówić Wandurskiemu konsekwencji, odwagi, niezwykłego oddania sprawie, której chciał służyć – wszystkim, całym sobą, a Broniewskiemu rozważnej i mądrej dalekowzroczności. Nie znaczy to oczywiście, że autor „Troski i pieśni" odgradzał się od ścisłych i czynnych kontaktów z ruchem robotniczym, w tym np. czasie prowadził w Warszawie amatorski teatr dla robotników, ale swój najbardziej wartościowy udział widział przede wszystkim w pisaniu. Chciał sprawie dać z siebie to co uznał za najbardziej cenne – wiersze. Zarzuty przyjaciela, które go cenił, bolały go bardzo, to jemu przede wszystkim pragnął odpowiedzieć w cytowanym wierszu, gdy pisał:

Przyjacielu, czemuś nie pojął
skąd krew pieśni i moc jej
czerpię? —
jeśli wierszem staję do boju,
wierszem kocham i wierszem
cierpię.

Świadomość aktualnych potrzeb rewolucyjnego ruchu, która nakazała Wandurskiemu włączyć się czynnie w nurt politycznej pracy partyjnej, określiła także jego stosunek do twórczości literackiej. Stawiał ją nie tylko na dalszym miejscu („Pisać, „tworzyć" – można na marginesie z nadmiaru"), ale obarczał literaturę obowiązkiem uczestniczenia w toczącej się walce, co rozumiał przez nasycenie jej aktualnymi, przydatnymi do agitacji, treściami społecznymi i politycznymi. Podobnie, jak w przekonaniu o potrzebie angażowania się twórcy do czynnej walki, uznał tę rolę za przejściową tylko, konieczną w aktualnej sytuacji, ale sąd formułował pryncypialnie: „uważam, że jest to dziś jedynie możliwa – ż y w a – twórczość" (list z 22 III 1926). Skłonny był także twierdzić, że „zastosowanie do potrzeb chwili" określa jednocześnie wartość utworu, mówi o jego artystycznej randze. Nie był to wszakże sąd niezachwiany, zdawał sobie bowiem sprawę z tego, że ów nakaz chwili nakłada na twórcę konieczność pewnych wyrzeczeń i rezygnacji. Sam o własnej twórczości tak pisał: „Co innego, że włosy na głowie dęba stają, gdy się pomyśli, że do śmierci samej miałbym pisać rozmaite „agitki" w stylu „Do panów poetów" lub „Ostatki"... Ale tak nie będzie. Przyjdzie czas spokojniejszy" (Tamże).

Była więc dla Wandurskiego literatura „narzędziem agitacji, formą uczestniczenia w walce politycznej", ale tylko w okresie szczególnej mobilizacji sił do „ostrej walki", kiedy pod broń trzeba powołać wszystkie siły. Sądził, że będzie to okres krótki i sam jeszcze będzie mógł tę broń zawiesić.

Bezpośrednią próbą realizacji tak określonych zadań literatury był jego ostatni utwór sceniczny, satyryczna trawestacja noworocznej szopki – „Gra o Herodzie". To po jego napisaniu i zrealizowaniu na scenie przez zespół Sceny Robotniczej, Wandurski zdefiniował swój sąd o wartości literatury agitacyjnej, dowodząc, że tego rodzaju twórczość jest „żywa, spontaniczna, zastosowana do potrzeb chwili (a nie „wieczna") i przez to właśnie artystycznie wartościowa" (list z 19 II 1926). „Mam wrażenie – pisał w innym liście – że udało mi się napisać rzecz p o l s k ą, z ducha i formy, nie bacząc na treść międzynarodową. O to wszak chodzi. I pewien jestem, że m o ż n a pisać rzeczy aktualne, o podkładzie polityczno-rewolucyjnym, a jednak artystycznie wartościowe. I polskie nie naśladowane" (23 III 1926).

Do spraw, które ich i bliski im krąg nurtowały w tych latach, powrócić mieli obaj poeci w 1932 roku. Broniewski wydał w tym roku nowy tom poezji „Troska i pieśń" w którym opublikował wiersz zaczynający się od słów: „Przyjacielu, los nas poróżnił...". Realia przyjacielskiego sporu z Wandurskim posłużyły w nim do wyjaśnienia własnego programu poetyckiego, źródeł swojej twórczości; odpowiadał tu wszystkim krytykom jego poezji z poczuciem godności i niezależności:

Nie pozwolę nikomu dotknąć
harfy mej — ze stu żył —
stustrunnej,
będę niósł ją — groźną, samotną —
Choćby cięższa była od trumny.

W tym samym czasie Wandurski, przebywający już na emigracji, opublikował w Moskwie obszerny szkic o poezji przyjaciela, w którym pisał o „wielkim i oryginalnym talencie" Broniewskiego i jego silnym wpływie na młodych poetów proletariackich „po tej i tamtej stronie", przyznając mu rangę „jednego z najwybitniejszych poetów Polski współczesnej". Ale powtórzyć miał także dawne zarzuty:

„Broniewski – rewolucyjny liryk. Liryk wysokiego emocjonalnego napięcia. W tym jego siła i słabość. Nadmierny liryzm, przechodzący w egotyzm, hamuje przeradzanie się jego poezji rewolucyjnej w proletariacką. Stąd – zrywy, nieoczekiwane sprzeczności. Poeta często sam nie uświadamia sobie tych sprzeczności, szczególnie w obecnym etapie twórczości. Broniewski nie do końca poznał ideologię rewolucyjnego proletariatu. Nie opanował jeszcze filozofii dialektycznego materializmu. W poecie walczy idealista-romantyk z materialista-rewolucjonistą".

Był to ostatni ślad ich związków.

MARIA KORNATOWSKA

Przyszłość i nadzieja

6—8 maja odbył się w Kinie Studyjnym szósty już z kolei przegląd etiud Szkoły Filmowej. Świetna okazja do zastanowienia się nad przyszłością polskiej kinematografii. Na Szkołę Filmową spoglądają z nadzieją wszyscy miłośnicy filmu. Stamtąd może bowiem przyjść ocalenie. Tam wykluwa się młode pokolenie, które mogłoby nareszcie uczynić nasze kino współczesnym i nowoczesnym. Aktualny stan polskiej kinematografii stwarza znakomity klimat dla uformowania się grupy „młodych gniewnych", którzy chcieliby walczyć o nowy sposób widzenia sztuki filmowej, o nowe treści i nowe formy. Obecna sytuacja aż prosi się o jakiś twórczy bunt, o „nową falę". Przykład absolwentów praskiej uczelni filmowej, którzy nie tylko potrafili zrealizować własną wizję artystyczną, ale także narzucić ją starszemu pokoleniu, wydaje się szczególnie pouczający. Czy przegląd filmów szkolnych potwierdza nasze, jakże uzasadnione, nadzieje? Z prawdziwą melancholią należy stwierdzić, że nie.

Filmy szkolne trzeba oczywiście traktować na specjalnych zasadach. Stanowią one bądź co bądź rodzaj wypracowania. Muszą odpowiadać pewnym wymaganiom dydaktycznym. Niemniej, zwłaszcza na wyższych latach studiów mogą one być formą osobistej wypowiedzi, tym bardziej, że Szkoła zostawia duży margines swobody twórczej, wykraczający znacznie poza granice istniejące w „dorosłej" kinematografii. Szkoła stwarza możliwości eksperymentowania. Do jej zadań należy nauczenie wychowanków reguł realizacji filmowej oraz sposobów posługiwania się techniką, słowem — przygotowanie do zawodu. I Szkoła zadania te spełnia — prezentowane etiudy świadczą o tym, że studenci wiedzą jak się kręci filmy. Orson Welles w publikowanym niedawno na łamach „Odgłosów" wywiadzie, powiedział między innymi, iż można opanować umiejętności techniczne, ale nie można nauczyć się reżyserowania, podobnie jak nie można nauczyć się pisania. W kraju, w którym produkuje się rocznie 25 filmów reżyseria nie jest zawodem. Młody człowiek, który przychodzi do Szkoły Filmowej w tym kraju, musi posiadać już pewien bagaż, pewną świadomość, pewną postawę wobec rzeczywistości i sztuki. Tego żadna szkoła dać mu nie może. Szkoła realizuje zadania dydaktyczne, ale to studenci tworzą klimat wrzenia, niepokoju twórczego, dyskusji, ścierania się indywidualności. Studenci decydują o obliczu Szkoły. Doświadczenia ostatnich lat wskazują, iż autentyczna sztuka filmowa rodzi się z pasji i świadomości zarazem. W ten sposób powstały wszystkie nowe fale. W prezentowanych filmach szkolnych nie ma, niestety, ani pasji ani świadomości. Nie widać także zupełnie, zrozumiałego w tych warunkach, zachłyśnięcia się możliwościami kina. Nie widać (poza nielicznymi wyjątkami) prób poszukiwania własnej, oryginalnej drogi, eksperymentowania, chęci powiedzenia czegoś za wszelką cenę, ani też zafascynowania jakimś ukochanym mistrzem, jak to często w wieku młodzieńczym bywa. Filmom ludzi młodych możemy wybaczyć wiele niedoskonałości warsztatowych, wiele potknięć technicznych. Nie możemy jednak wybaczyć pustki, nijakości, upartego kroczenia utartymi ścieżkami, braku pasji odkrywania nowych lądów. Właśnie tej pasji oczekujemy przecież od młodości.

Prezentowane filmy świadczą o całkowitej niedojrzałości dorastającego pokolenia młodych twórców. Ta niedojrzałość, więcej nawet, pewien infantylizm przejawia się zarówno w doborze, jak i w ujęciu tematów, w operowaniu grepsem, blackoutem jako głównym chwytem artystycznym. Sfera zainteresowań młodych realizatorów wydaje się być bardzo ograniczona, a sposób widzenia niektórych spraw (np. miłość, samotność, chłopiec i dziewczyna, echa wojny, itd.) — niesłychanie naiwny. O niedojrzałości świadczy chociażby nieumiejętność poradzenia sobie z pointami w wielu filmach, opartych często na jakimś jednym dobrym pomyśle, z którym reżyser nie potrafił sobie, niestety, dać rady. Znamiennym świadectwem będzie tu film Grzegorza Królikiewicza „Każdemu to czego mu wcale nie trzeba", będący właściwie rysopisem owego pokolenia bezradnego wobec problemów i spięć rzeczywistości, skazanego jak się zdaje, na „wieczną młodzieżowość". Etiuda Królikiewicza podobnie, jak i jego „Wyjście" są wyrazem autoświadomości. A to już bardzo cenne. Zasadniczą słabością większości szkolnych filmów, jest to, iż nie bacząc na trudności wynikające chociażby z ograniczonej ilości taśmy, braku dobrych aktorów itd. kroczą utartym szlakiem kina narracyjnego i psychologicznego. I w rezultacie stanowią rozpisaną na obrazki ilustracyjkę jakiejś anegdoty literackiej.

Do najlepszych etiud fabularnych zaliczyłabym „Muchotłuka" Marka Piwowskiego oraz „Śmierć prowincjała" Krzysztofa Zanussiego. Obydwu obca jest owa irytująca, dosłowna ilustracyjność. W „Muchotłuku" dojrzeć można wpływy czeskie. Inspiracje dokumentu są tu szczególnie cenne. Film posiada sporo podtekstów, styl i autentyczny klimat, oraz interesujący, ironiczny sposób prowadzenia narracji. Pokazuje po raz pierwszy w historii polskiego filmu prawdziwą, polską knajpę. Film Zanussiego reprezentuje inny kierunek poszukiwań, zbliżony raczej do francuskiej nowej fali. To film nastroju, atmosfery, podtekstu, dojrzały w nowoczesnym i subtelnym rysowaniu spraw najistotniejszych — sensu życia, śmierci, młodości, starości. Zanussi posługuje się bardzo konsekwentną poetyką, nie dopowiada niczego do końca, sugeruje tylko, podsuwa pewien materiał do refleksji. „Śmierć prowincjała", była jedynym prawdziwie poetyckim filmem przeglądu.

I to właściwie byłoby wszystko, o czym warto by mówić w dziedzinie filmu fabularnego. Być może jest to dużo, a być może bardzo mało. Trzy nazwiska, trzy indywidualności, trzy kierunki poszukiwań. Pozostaje film dokumentalny. Z oficjalnych wypowiedzi przedstawicieli władz szkolnych wynika wyraźnie, że Szkoła nastawiona jest przede wszystkim na dokument, jako na „szkołę" obserwacji i syntetyzowania. I bardzo słusznie. Historia filmu dowodzi, iż wielu świetnych reżyserów przeszło właśnie przez szkołę dokumentu. Rzeczywiście filmy dokumentalne są znacznie lepsze od fabularnych, sprawniej zrealizowane, zgrabniejsze. Ale... i tu rodzi się szereg wątpliwości. Obserwacja — tak, ale bardzo powierzchowna, naskórkowa. Więcej, rzekłabym, manieryczna. W większości filmów dostrzec można pogoń za jakimiś specjalnie dziwnymi, charakterystycznymi twarzami. I stąd szczególne upodobanie do różnego rodzaju staruszków. Z prezentowania tych twarzy nic jednak w gruncie rzeczy nie wynika. Wytworzył się pewien schemat: w obrazie pokazuje się ludzi wykonujących jakieś, najczęściej nic nie znaczące, czynności, a pod ten obraz „leci" możliwie chropawy, „autentyczny" monolog. Obserwacja w filmie traci swój sens jeśli jest odkrywaniem rzeczy oczywistych. Jeszcze gorzej jest z umiejętnością syntetyzowania. Tu wracamy do punktu wyjścia. Synteza stanowi rezultat wiedzy o rzeczywistości, lub przynajmniej określonej wobec niej postawie. I stąd też brak syntezy w owych dość nudnawych i nijakich impresjach. Ten schemat, o którym wspomniałam znakomicie ujawnia i wyraża indyferentyzm, brak głębszych ambicji. Stanowi świetne alibi dla tych, którzy nie mają nic do powiedzenia. Zapewne dlatego tak się przyjął i obficie obrodził.

I znów trzy filmy, o których warto wspomnieć ponieważ obserwacja służy w nich do wyrażenia pewnych treści. „Po wyroku" Krzysztofa Gradowskiego — film publicystyczny, sprawnie zrealizowany, sięgający po tematykę bardzo aktualną, zaangażowany. „Urząd" Krzysztofa Kieślowskiego — interesująca próba wyjścia poza obowiązujący schemat i „Lekcja 41" Abdellaha Drissi — wykraczająca poza sferę obserwacji oczywistych. I to chyba wszystko.

Czy naszemu filmowi zagraża inwazja nowego, prężnego pokolenia? Obawiam się, że nie. Film szkolny stanowi w gruncie rzeczy miniaturowe odzwierciedlenie słabości i niedomogów „dorosłej" kinematografii. Jak wiadomo, idea nowego kina rodziła się i dojrzewała w pewnych grupach, środowiskach. Czy w Szkole „rośnie" właśnie jakaś grupa, tendencja, autentyczne nowe pokolenie? Obawiam się, że nie. Wspólna tendencja przejawia się głównie w cechach negatywnych, jak chociażby we wspomnianej skłonności do schematyzmu w dokumencie, lub wymigiwania się grepsami w fabule.

Czy mamy załamywać ręce i pogrążać się w otchłani rozpaczy? Chyba nie. Jedyną mądrością życia — jak powiada stary Aleksander Dumas — jest czekać i mieć nadzieję.

SPEKTAKLE tygodnia

NOWY MAŁA SALA	„Happy end", 4 spektakle	2.500 — 80%
	„Szklana menażeria", 5 spektakli	750 — 75%
TEATR WIELKI	„Sfraszny dwór", 2 spektakle	2.552 — 100%
	„Rigoletto", 2 spektakle	2.552 — 100%
	„Kniaź Igor", 2 spektakle	2.552 — 100%
OPERETKA	„Fantastyczny rejs", 6 spektakli	5.306 — 80%
JARACZA (w teatrze ROZMAITOŚCI 7.15	„Namiestnik", 2 spektakle	1.499 — 100%
	„Paryżanin", 2 spektakle	842 — 100%
	„Dobrze skrojony frak", 2 spektakle	842 — 100%
TEATR ZIEMI ŁÓDZKIEJ	„Ktoś nowy", 2 spektakle	696 — 100%
	„Droga do Czarnolasu", 4 spektakle	725 — 65%
FILHARMONIA	2 koncerty symfoniczne	720 — 60%

TERESA WOJCIECHOWSKA

Półtorej książki dla każdego mieszkańca

Satysfakcji, z jaką ogląda się gmach Powiatowej Biblioteki w Sieradzu nie zdołał zmącić nawet fakt, że kierownik, którego wyobraziłam sobie jako głównego informatora, właśnie pojechał do Łodzi. Dzięki gościnności personelu zaproszona zostałam do wnętrza. Nowy gmach biblioteczny oddany został w 1965 r. i pracownicy wciąż są z niego jednakowo dumni. A jest z czego. Widny, przestronny, wygodny, rozwiązany funkcjonalnie, urządzony estetycznie — aż prosi o wejście i pozostanie.

Aby zadośćuczynić ambicjom gospodarzy musiałam zwiedzić wszystkie działy po kolei. Zaczynając od wypożyczalni dla dzieci, która przypomina raczej salę zabaw niż czytelnię. Wesoła, kolorowo urządzona, umeblowana miniaturowymi sprzętami, sala, w której nowoczesność reprezentowana przede wszystkim przez telewizor, nie kłóci się wcale z baśniowymi wieczorami, w które przychodzą tu krasnoludki, królewny, dobre i złe duszki. Wieczory bajek cieszą się wielkim powodzeniem. Może dlatego personel biblioteki, wychowujący własne młode pokolenie, przychodzi tu ukradkiem, by zdobytą wiedzę sprzedać przy kolacji za talerz posłusznie zjedzonej manny czy owsianki. Jak wykazała historia, krasnoludki nie są najgorszym przewodnikiem w drodze do pierwszej książki.

Newralgicznym punktem życia biblioteki jest czytelnia. Reprezentacyjna sala z wygodnymi fotelami, stolikami, podręczną biblioteką, telewizorem. Tu skupia się popołudniowe życie czytelników, miłośników książki, hobbystów i tak dalej.

To „i tak dalej" znalazłam w zeszycie zajęć czytelni, prowadzonym systematycznie od 1965 r. Dzień po dniu wpisane zajęcia, jakie prowadzi się w czytelni. Bardzo interesująca lektura. Co jakiś czas zmienia się charakter pisma i rodzaj atramentu. Znak to, że zmieniła się osoba prowadząca czytelnię. Towarzyszą temu faktowi i zmiany niektórych form pracy, niektóre pozostają. Powtarzają się pozycje: korzystanie z prasy, wieczory „Czytelnicy pytają" (informacja o książkach i sposobach korzystania z księgozbioru), powtarza się oglądanie telewizji. Spotkania z pisarzami, występy artystów scen łódzkich, spotkania z aktorami. Wieczory krasomówcze młodzieży szkolnej. Działają (i przestają działać) różne kluby. Najsystematyczniej działa Klub Starszego Człowieka, gromadzący co wtorek starsze pokolenie Sieradza. Przestał działać Kącik Melomana (chwała za to niech będzie kierownikowi), którego działalność polegała na nagrywaniu i przegrywaniu muzyki rozrywkowej. Głośne to były wieczory w sanktuarium ciszy, jakim powinna być czytelnia. Stałą pozycją są gry towarzyskie, zebrania klubu filatelistów, rzadkie są na szczęście pozycje takie jak: posiedzenie Stowarzyszenia Spółki Wodnej powiatu sieradzkiego (sala konferencyjna na Prezydium RN jest w remoncie i nie wypada odmówić proszącym o wypożyczenie czytelni). I tak dalej i dalej.

W woj. łódzkim znajdują się 522 biblioteki i filie biblioteczne oraz 1.719 punktów bibliotecznych. Ich księgozbiór wynosił w ubiegłym roku 2.015.000 woluminów. Czytało je 277.182 czytelników. Wypożyczono w ciągu roku 4.674.000 książek.

* * *

Celowo opisałam dość szeroko formy pracy biblioteki sieradzkiej, wybranej zresztą przypadkowo, uważając je za typowe dla działalności wielu innych bibliotek w naszym województwie. Czy są one dobre czy złe? Niektóre z nich na pewno mogą obudzić w czytelniku zdziwienie. Gry towarzyskie? Oglądanie audycji telewizyjnych? Klub filatelistów? To wszystko w bibliotece? Nie można popularyzować dziś książki, szerzyć oświaty, czytelniczej nie uwzględniając obiektywnych warunków kulturowych, zainteresowań społecznych i dróg, którymi najłatwiej z książką dojść do potencjalnego czytelnika. Tego potencjalnego czytelnika na pewno łatwiej przyciągnąć do biblioteki rozrywką, niż odczytem, audycją telewizyjną — niż prelekcją. Zresztą radio i telewizja nadają wiele audycji w sam raz pomyślanych jako pomoc w pracy biblioteki. Można do nich zaliczyć także wiele spektakli teatralnych, często opartych na adaptacji dzieł literatury światowej. Jeśli jeszcze biblioteka zorganizuje dyskusję związaną z przedstawieniem, czy wstęp wprowadzający doń — to obecność telewizora w czytelni będzie słuszna i uzasadniona. Notabene wpływ radia i telewizji na czytelnictwo oceniany jest bardzo pozytywnie. Budzą zainteresowanie światem, skłaniają do sięgania po książkę i poszerzania wiedzy o zasłyszanych w telewizji problemach. Mają poważne zasługi w zainteresowaniu wsi fachową literaturą rolniczą.

Obserwuje się jednak w niektórych placówkach, szczególnie bibliotekach gromadzkich, niepokojące zjawiska przejmowania przez nie funkcji domów kultury, przerost zabawowych form pracy, odciągających od właściwych zadań. Można oczywiście powiedzieć, że każdy kto przyjdzie do biblioteki, nawet na imprezę rozrywkową, przy okazji obejrzy wystawę nowości książkowych, być może zainteresuje się jakimś tytułem, być może zacznie czytać...

Największą liczbą czytelników pochwalić się może pow. Poddębice (21,7 proc.), dalej Skierniewice (19,4 proc.), Bełchatów (18,8 proc.), Rawa Mazowiecka (18,5 proc.), Sieradz (18,1 proc.). Najmniej czytelników ma powiat łódzki (14,6 proc.).

Wydaje się więc, że ważny jest przede wszystkim umiar i rozsądek w wyborze środków prowadzących do budzenia nawyku czytelniczego. Wszystko co w nadmiarze — nie jest zdrowe. Również pożyteczna akcja konkursów, centralnych, regionalnych i środowiskowych, czytelniczych, wspomnieniowych, pamiętnikarskich — przeszła już niemal w konkursomanię, przeszkadzającą bibliotekom w codziennej systematycznej pracy. Konkursy — rzecz cenna i pożyteczna, może by jednak można było je organizować przy mniejszym udziale bibliotek, bezpośrednio poprzez zainteresowane placówki i organizacje?

Przed bibliotekami stoją zadania poważne i trudne. Mają stać się one ośrodkami ruchu umysłowego. W bibliotekach powiatowych powstają obecnie działy naukowe, które mają służyć pomocą ludziom kształcącym się na poziomie średnim i wyższym. Studiujący zaocznie znajdą w nich literaturę naukową, podręczniki. W dziedzinie literatury fachowej, społecznej i politycznej uzupełniane będą w najbliższym czasie księgozbiory biblioteczne. Imprezy — przede wszystkim oświatowe, naukowe i literackie. To są główne kierunki działania bibliotek, wcale niełatwe i warto, by np. Instytut Książki i Czytelnictwa przyszedł tu z pomocą teoretyczną w opracowaniu najskuteczniejszych metod popularyzacji czytelnictwa.

* * *

W dziedzinie czytelnictwa nasze województwo nie zajmuje pierwszego miejsca w kraju, w ostatnich latach zrobiono wiele dla „zdobycia wyższej lokaty". W ciągu minionych trzech lat przybyło około 64 tysięcy czytelników, czyli około 21 tys. rocznie. W poprzednich latach przybywało rocznie ok. 10 tys. czytelników. Interesująca jest lektura danych statystycznych. Tam, gdzie dalej od centrum życia kulturalnego, od kawiarni, kin, teatrów, gdzie brak imprez rozrywkowych — czytelnictwo jest bardziej rozwinięte.

Statystyczny czytelnik w woj. łódzkim wypożycza 16,9 woluminu rocznie. Mieszkańcy miast czytają szybciej, niż mieszkańcy wsi, (np. w Piotrkowie 36 wypożyczeń, w pow. pajęczańskim — 11,2). M. in. wpływa na to fakt, że w lekturze wiejskiej poważną pozycję stanowią fachowe książki rolnicze, których nie czyta się „jednym tchem".

W dużych ośrodkach miejskich liczba czytelników notowanych w statystykach jest mniejsza. Ale wpływa na to nie tylko atrakcyjność życia kulturalnego. Również fakt, że działają biblioteki związkowe i przyzakładowe, których księgozbiory i czytelnicy nie są odnotowani w statystykach GUS-owskich.

W ciągu minionych lat zbudowano nowe gmachy biblioteczne (taką liczbą nie może pochwalić się żadne inne województwo) w Sieradzu. Wieluniu, Brzezinach i Wieruszowie, buduje się jeszcze w Kutnie. Zaadaptowano i rozbudowano stare gmachy w Piotrkowie i Rawie Mazowieckiej. Na poprawę bardzo złych warunków lokalowych czeka jeszcze Pajęczno i Poddębice.

Czekają też na uzupełnienie księgozbiory. W ostatnich latach gromadzkie rady narodowe przeznaczają spore sumy z nadwyżek budżetowych na rozwój kultury. W ubiegłym roku wygospodarowały 12 mln. zł. a w tym ponad 1.200.000 na zakup książek. Dzięki temu 100 obywateli województwa może się dziś pochwalić 120 książkami na swe statystyczne głowy (poprzednio 113 książek). A dążeniem władz kulturalnych jest, by 100 obywateli miało 150 książek. Czyli półtorej na jednego. Oczywiście, w bibliotekach.

Kto, co, kiedy?

relacje

niedyskrecje

Litografia Muchy — „Cztery pory roku".

MUCHA — PRZYPOMNIANY

■ Przez blisko pół wieku nie pamiętano o

Aljons Maria Mucha

nim i dopiero w ostatnich latach, kiedy to sztuka z przełomu XIX i XX wieku znów zaczyna budzić coraz większe zainteresowanie, Czech Alfons Maria Mucha został przypomniany.

Cztery lata temu odbyły się w Londynie dwie jego plastyczne wystawy, rok temu wspomniano o nim we francuskiej prasie, obecnie w Monachium odbywa się ekspozycja 40 afiszów Muchy, a retrospektywna wystawę dzieł Muchy można będzie zobaczyć na wiosnę przyszłego roku w heskim Landsmuseum w Darmstadt.

ZMARŁ VASQUEZ DEL RIO

■ Zmarł malarz pochodzenia hiszpańskiego, przebywający we Francji Vasquez del Rio. Nim poświęcił się malarstwu był śpiewakiem operowym. Zdobywał znaczne sukcesy w mediolańskiej „La Scali" i berlińskiej operze. Podczas wojny hiszpańskiej był oficerem lotnictwa i walczył przeciwko gen. Franco. Po zwycięstwie faszystów schronił się do Francji. W czasie drugiej wojny światowej brał czynny udział w ruchu oporu. Po wojnie uprawiał malarstwo i brał udział w wielu wystawach plastycznych.

ZMARŁ WYBITNY ZNAWCA SWIFTA

■ W Oxfordzie zmarł w wieku lat 73 profesor Herbert Davis. Był on najwybitniejszym znawcą twórczości Swifta, o której wydał kilka cennych książek.

Profesor wykładał wiedzę o Swifcie na uniwersytetach w Niemczech, Stanach Zjednoczonych i w Oxfordzie.

Jonathan Swift (30. XI. 1667 — 19. X. 1745) był jak wiadomo, wybitnym pisarzem i publicystą angielskim pochodzenia irlandzkiego. Najpopularniejszym jego dziełem jest „Travels into Several Remote Nations of the World, in Four Parts, by Lemuel Gulliver" (Podróże Guliwera).

Książka ta uchodzi za najbardziej udane dzieło satyryczne w literaturze światowej.

„PORTRET ARTYSTY JAKO MŁODEJ MAŁPY"

■ Michel Butor uznany jest przez krytykę jako jeden z najbardziej utalentowanych powieściopisarzy, dla których inspiracja stała się twórczość Joyce'a i Faulknera (sam Butor twierdzi, nie bez słuszności zresztą, że jego mistrzem jest również Balzac).

Ostatnia książka Butora nosi dość dziwaczny tytuł „Portret artysty jako młodej małpy".

Tytuł ten jest parafrazą, nawet jak twierdzi autor, parodią tytułu autobiograficznej książki Joyce'a „Portrait of the Artist as a Young Man" (Portret artysty jako młodego człowieka). W słowie „małpa" według Butora chciał on zawrzeć, czy też zasygnalizować znaczenie małpiarstwa, imitowania czegoś.

Czym jest właściwie książka Butora? Esejem, powieścią, autobiografią? Wszystkim jednocześnie — wyjaśnia autor. Oparta jest na wspomnieniach sprzed lat piętnastu. Wówczas to pewien niemiecki hrabia, chcąc się wprawić w języku francuskim zaprosił Butora do swego zamku w Niemczech. Panowała tam, według autora książki, specyficzna atmosfera marzeń, snów,

Michel Butor

rozciągających się poprzez noc także i na dzień. Więc opisy realnych przeżyć splatają się i przenikają z opisami snów, których jest siedem, a które stanowią jakby zwartą całość.

GŁOŚNO O SIMENONIE

■ Ostatnio w prasie światowej głośno o francuskim powieściopisarzu Simenonie. Także u nas.

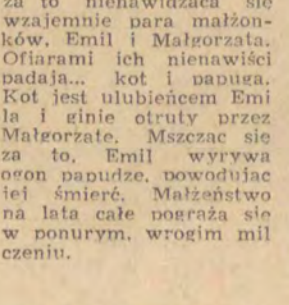

Bo też Georges Simenon jest pisarzem o wyjątkowej popularności. Obliczono, że przeciętnie każdego dnia na naszej planecie wychodzi (w jęz. francuskim lub tłumaczeniu) jeden tom dzieł Simenona. Według „l'Humanité" jest to „absolutny rekord w historii literatury".

W połowie marca ukazał się w Paryżu pierwszy tom zebranych dzieł Simenona. Całość liczyć będzie 48 tomów. Po raz pierwszy w jednym wydaniu ukaże się zebrane powieści, których bohaterem jest słynny komisarz francuskiej policji Maigret.

W ostatnich dniach ukazała się w Paryżu najnowsza powieść Simenona pt. „Le Chat" (Kot). Nie ma w niej komisarza Maigreta, ani pościgu za przestępcami, jest za to nienawidząca się wzajemnie para małżonków, Emil i Małgorzata. Ofiarami ich nienawiści padają... kot i papuga. Kot jest ulubieńcem Emila i ginie otruty przez Małgorzatę. Mszcząc się za to, Emil wyrywa ogon papudze, powodując jej śmierć. Małżeństwo na lata całe pogrąża się w ponurym, wrogim milczeniu.

PO RAZ PIERWSZY NAGRODA STENDHALOWSKA

■ Niedawno po raz pierwszy została przyznana nagroda literacka im. Stendhala. Laureatem jest angielski pisarz Piotr d'Harcourt za swą książkę pt. „The Real Enemy".

Prix Stendhal została ufundowana przez wybitnego angliste André Straussa. Stendhal marzył o tym, aby istniała nagroda jego imienia, ale realizacja tego nastąpiła dopiero w sto dwadzieścia pięć lat po jego śmierci.

Laureat mieszka na przedmieściach Londynu i jest współpracownikiem pisma „Observer". Powieść „The Real Enemy" oparta jest na materiale autobiograficznym.

„MOJE SERCE JEST W HIGHLANDS"

■ Taki jest tytuł sztuki Williama Saroyana. Tak samo zaczyna się bardzo stara szkocka piosenka, śpiewana zwłaszcza przez tych, co odeszli z rodzinnego Highlands (wyżynny kraj w Szkocji). „Moje serce w Highlands, moje serce nie jest tutaj, moje serce jest w Highlands..." — na tym nostalgicznym motywie oparł i rozwinął jeden ze swych najpiękniejszych poematów wielki szkocki poeta Robert Burns.

„Moje serce jest w Highlands" Saroyana wystawiła ostatnio telewizja francuska, a prasa omawiając w ciepłych słowach to widowisko, przypomniała pokrótce postać autora sztuki.

Bohaterem dramatu jest stary Szkot, który śpiewa tęskną piosenkę o

swej dalekiej krainie, ale Saroyan nie jest bynajmniej Szkotem. William Saroyan urodzony we Fresno w Kalifornii jest synem Ormianina, który w początkach naszego wieku wyemigrował do Ameryki. Był on duchownym prezbiteriańskim, i aby wyżyć w San Francisco, pracował ciężko wśród ludzi podobnie jak on biednych, emigrantów różnych narodowości. Matka Williama pracowała jako robotnica w fabryce. Później ojciec Williama został ogrodnikiem. William od dziecka zarabiał na życie. Uprawiał wiele zawodów, poznał mnóstwo ludzi. Począł pisywać krótkie opowiadania, które drukował w czasopismach. Bohaterami ich byli przeważnie ludzie zajęci własnymi drobnymi sprawami, niekiedy niefrasobliwi i lekkomyślni, ale w istocie porządni i uczciwi. Opowiadania te zebrał Saroyan i wydał pod tytułem „The Daring Young Man on the Flying Trapeze" (Odważny młody mężczyzna na latającym trapezie). Około roku 1935 William zyskuje ogromną popularność i uznanie zarówno czytelników jak i krytyki. Pisze jeszcze szereg utworów, opowiadań i dramatów.

W roku 1934 odwiedził Armeńską SRR.

SALVADOR DALI HUNWEJBINEM

■ Pod takim tytułem „Litieraturnaja Gazieta" komunikuje, że słynny malarz pochodzenia hiszpańskiego, znany ze swych ekstrawagancji wniósł swój wkład do chińskiej „rewolucji kulturalnej". Mianowicie Dali sporządził serię ilustracji do dzieł Mao Tse-

-tunga. Książka wyszła niedawno w jednym z wydawnictw paryskich w bardzo ograniczonym nakładzie (239 egz.).

W związku z ilustracjami Salvadora Dali hiszpańska gazeta „Arriba" zamieściła karykaturę, znanego ze swych tendencji do autoreklamiarstwa, malarza Dali, który zwraca się do Mao ze słowami: „Powiedz nareszcie, jak to robisz, że zawsze jesteś na pierwszych stronach gazet".

Z tygodnia na tydzień

Nikt nie wątpi, że czołową imprezą kulturalną tygodnia był Wyścig Pokoju, który absorbował uwagę społeczeństwa znacznie gruntowniej niż na przykład kiermasz książki. Nic dziwnego. Na kiermaszu byli literaci, ale nie było książek. Tylko że nikt nie apelował żeby literatów podtrzymywać na duchu. Wzywano natomiast za pomocą radia i telewizji do moralnego podtrzymywania na duchu kolarzy polskich, którzy nie wiadomo dlaczego już po II etapie osłabli i załamali się. W sprawie kolarzy można się domyślać, że winien jest klimat, bo dlaczego np. Marokańczyk dobrze jedzie? W sprawie braku książek na kiermaszu nie udało się ustalić winnego.

Choć w cieniu Wyścigu, niemniej imprezy kulturalne odbywają się nadal. Okazji jest tego roku więcej niż w poprzednich. Towarzyszy im wiele obchodów, akademii. Choć starannie przygotowywane, są to na ogół imprezy jednodniowe. Wśród ich powodzi zdarzają się jednak takie, które są efektem prawdziwie twórczego, zaangażowanego stosunku do obchodzonego święta. Dotychczas udało mi się odnotować dwie takie imprezy.

Pierwsza z nich powstała w „kombinacie muzycznym" przy ul. Jaracza 19. Liceum im. Wieniawskiego przy współpracy Liceum Sztuk Plastycznych przygotowało montaż słowno-muzyczny w pięciu częściach, stanowiących obrazy historyczne dziejów Polski. Teksty głównie poetyckie (można powiedzieć od Kochanowskiego — do Załuckiego) ale również proza (Sienkiewicz) i to nie tylko literacka, także polityczna. Muzyka jest ilustracją, ale tworzy również artystyczną całość. Fragmenty najdawniejszej muzyki polskiej na chór i orkiestrę, znakomicie skomponowane z całkowicie nowoczesnymi układami, ba nawet elementami muzyki konkretnej. Świetnie przygotowane chóry i orkiestra szkolna. Strona muzyczna — dzieło dyrektora szkoły A. Hundziaka jest najmocniejszą stroną widowiska. Ciekawie rozpisanym na głosy recytacjom (opracowanie literackie F. i S. Izdebscy) chwilami brakowało dostatecznej dynamiki, ale mogła to być kwestia tremy. Całość zwarta, o doskonałym tempie, bez dłużyzn (trwa niewiele ponad godzinę) warta jest tego by nie poszła w zapomnienie, by obejrzała ją przynajmniej większość młodzieży szkolnej. Aktywność Liceum Muzycznego jest odwrotnie proporcjonalna do warunków lokalowych tej szkoły. Pewno dlatego sprawa nowego gmachu wciąż tkwi w tym samym punkcie (zerowym

Druga okolicznościowa pozycja, która nie przeminie bez echa jest „Misterium Buffo" Majakowskiego, wystawione przez „Cytrynę" dla uczczenia 50 rocznicy Rewolucji Październikowej (reż. J. Kwapisz, scenografia T. Bożyk). Ta rzadko wystawiana sztuka Majakowskiego, napisana w 1918 r., jest niewątpliwie słabsza niż „Łaźnia" czy „Pluskwa", jest w niej sporo prawd oczywistych trochę naiwności. Ale zespół „Cytryny" potrafił zręcznie ominąć te naiwności, lub potraktować je z satyrycznym dystansem. Ambitne zamierzenie, uwieńczone zostało dobrymi rezultatami. I Grand Prix na Przeglądzie Zespołów Artystycznych Medyków w Białymstoku.

KLEMENTYNA

Notatki na MARGINESIE

9 maja — w rocznicę zakończenia wojny — w TV dwa okolicznościowo dobrane filmy podobne tematycznie: polski, przyświetnej obsadzie, wydaje mi się nieszczery, wymyślony, „literacki". Węgierski o licznych dłużyznach, (zamierzonych chyba przez twórców), irytuje, nuży a zarazem fascynuje. Ta opowieść maksymalnie uproszczona i pozornie prawie bez akcji urasta do symbolu i nieoczekiwanie — z epizodu — przekształca się w obraz losów pokolenia osaczonego przez historię.

Dlaczego ten film tak mocno wbił mi się w pamięć? Sądzę, że to zasługa twórców, którzy ośmielili się — w naszych czasach rzecz nieczęsta — dochować wiary Prawdzie.

*

Nieszczęsna literatura naszych czasów, uznana dawno za bezsilnego pedagoga i proroka pozbawionego wyznawców, nadal przecie" włada swym wielkim darem jasnowidzenia. I choć tłumacz jeszcze się nie uporał z tekstem powieści Trumana Capote — już jej tytuł mógłby stać się hasłem wywoławczym sygnalizującym narodziny nowej plagi społecznej.

Z zimną krwią, bez powodów i pozornie nawet bez bodźców emocjonalnych — młokosy sięgają po nóż, narzędzie zbrodni „modne" w roku 1967. Ci mordercy o dziecinnych twarzach nie noszą na barkach brzemienia przeżyć i wspomnień minionych epok. Oni są tworem naszej epoki. Tym wnikliwiej trzeba przemyśleć krótką drogę życiową, którą każdy z nich przeszedł.

* * *

Dręczy mnie ta sprawa żyrardowska — czy zresztą żyrardowska? Słyszę wciąż słowa tego smarkacza: „a ja go tak z półobrotu nożem..." I widzę tę scenę, gdy wraca, pochyla się nad skatowanym, poranionym człowiekiem, szykuje się do śmiertelnego ciosu, obmacuje ofiarę i wesoło mówi: „gdzież jest to jego serce..."

By uwolnić się od tego koszmaru, muszę się zrelaksować: idę więc do kina. Trafiam mistrzowsko: „Tygrys lubi świeże mięso", odprysk pobondowski made in douce France, to nie film, to rzeźnia, z ekranu bluzga krew, nic się nie dzieje, akcji właściwie nie ma, jest tylko mordownia, bicie, katowanie. Tak działa nowy typ nadczłowieka — „Goryl" z kontrwywiadu, powołany do ochrony ważnych osobistości. Biedne ważne osobistości!

Wreszcie koniec tej „zabawy". Wychodzimy. Tłocząc się w ciemnym, zaplutym przejściu (och, te łódzkie kina!) słyszę przełamany mutacją głos jakiegoś ufryzowanego młokosa, który komentuje film: „Widziałeś, jak on go zrobił? Tak z półobrotu, nożem prosto w serce..."

* * *

„Tygrys" to ponoć parodia filmów z serii Bonda. Ale skąd o tym, że to parodia, możemy wiedzieć my, ani Polaczkowie, którzy nigdy na oczy nie widzieli Wielkiego Bonda, pogromcę czerwonych szpiegów?

Jakże mamy odbierać parodię czegoś zupełnie nam nieznanego?

A tak na marginesie filmów i literatury bondowskiej, post-bondowskiej i antybondowskiej: oprawców, katów i najemnych morderców miewali władcy w każdej epoce. Dopiero jednak rozkwit sztuki, cechujący drugą połowę XX wieku, awansował te kreatury na bohaterów dnia dzisiejszego.

* * *

Koniec świata! Łódź weszła na drogę sławy: Warszawa jest wytapetowana plakatem (brzydkim!) namawiającym do odwiedzania Łódzkiej Opery. Na ten widok doznałem radosnego (lokalno-patriotycznego) wstrząsu. Tzw. oczyma duszy ujrzałem mianowicie nieprzeliczone hufce wybrednych warszawskich muzyko-cmokierów szturmujących pod wodzą — oczywiście — mistrza Waldorffa marmurowe progi naszego Teatru Wielkiego. I zaraz wyobraziłem sobie podobny najazd (ale ładniejszy plakat) na naszą Galerię Sztuki Współczesnej. A nawet — o igrająca fantazjo! — jakąś wielką ogólnopolską lub wręcz międzynarodową filmową imprezę zlokalizowaną właśnie w Łodzi (która jak wiadomo jest stolicą filmu polskiego itd., itp.).

Lecz dość tych marzeń straszny a wzniosłych! Po cóż tak dręczyć siebie i bliźnich? Miejmy — że Boga w sercu i trochę litości dla naszego i tak utrudzonego inicjatywami Wydziału Kultury.

* * *

Na Krakowskim Przedmieściu dostrzegam z daleka — Leszka Budreckiego. Nim go jednak dopadnę, już jest po drugiej stronie ulicy, za ruchliwą przegrodą czterech czy pięciu rzędów samochodów. Odchodzi w siną dal.

A ja zostaję, sam na sam z dylematem: czemu Lech Budrecki na widok łodzianina przebiegł na drugą stronę ulicy?

W roku 1956 L. B. — wówczas jeszcze niewinne pachole — był w Łodzi jedynym młodym krytykiem literackim, który się liczył. Cóż dziwnego, że od bez mała 10 lat namawiałem go, by zajął się oceną książek łódzkich pisarzy. L. B. wykazywał dla tej sprawy wielkie zrozumienie. Z łódzkich pisarzy zajął się (tylko) Revmontem.

Wyrósłszy L. B. przeniósł się do Warszawy i tam działa w dziedzinie śpiewogry, ku pokrzepieniu serc. My w Łodzi zazdrościmy mu pieniędzy, sukcesów, w ogóle — warszawskości. Ale czy to powód by na widok łodzianina L. B. — dziś już mąż rozważny — przechodził na drugą stronę ulicy?

* * *

A tymczasem z Kalisza wróciliśmy raczej na tarczy niż z tarczą, i nagrody dla Józefa Zbiroga (gratulujemy!) oraz nagroda m. Kalisza przyznana teatrowi im. S. Jaracza (gratulujemy!) nie mogą przesłonić nam tego faktu.

Bo i cóż za pomysł: na festiwal, który, jak wszystkie festiwale, premiuje nowatorstwo, odwagę i tzw. „palec na repertuarowym pulsie" zawieźliśmy sztukę wystawioną co prawda poprawnie, ale przecież na polskich scenach zgraną już doszczętnie.

Nic dziwnego, że Grand Prix — a to jest nagroda odpowiadająca naszym teatralnym ambicjom — przypadła Teatrowi Polskiemu z Poznania za „Męczeństwo i śmierć Marata" Petera Weissa.

Nie bądźmy jednak czarnowidzami: dopatrzmy się i korzyści w takim stanie rzeczy. Może np. któryś z łódzkich teatrów odważy się teraz wystawić sztukę Weissa? I dzięki temu będziemy mieli propozycję repertuarową na jakiś festiwal za parę lat?

* * *

67 pisarzy i filmowców otrzymało medal „Za zasługi dla obronności kraju" — a wśród nich i poeta Marian Piechal.

Gratulujemy i szczerze cieszymy się, że poezja uznana została za tak ważny czynnik, kształtujący patriotyczną świadomość społeczną.

Zresztą, jeśli chodzi o odznaczenie naszego popularnego łodzianina, to trzeba przyznać, że MON trafił w dziesiątkę. Pan Marian Piechal, znany z wybuchowości, jeśli zajdzie potrzeba sam obstoi za małą bombę atomową.

WACŁAW BILIŃSKI

WYWIAD z Simenonem

Jaka jest najważniejsza cecha pańskiego charakteru?

— Jestem człowiekiem, który uczciwie pracował, który pracuje i który byłby najnieszczęśliwszy pod słońcem, gdyby nie mógł pracować aż do śmierci.

— Czy to prawda, że pisze pan, aby uciec od samego siebie?

— Czasem wierzę, że tak jest, zwłaszcza, że czuję się fatalnie po 2 lub 3 miesiącach leniuchowania. Ale znalazłem chyba głębszą przyczynę. Pochodzę z bardzo skromnej rodziny. Mój dziadek był rzemieślnikiem, moi wujkowie też. Ojciec, jedyny „intelektualista" w rodzinie był urzędnikiem ubezpieczeniowym. Matka prowadziła stancję dla 4 lub 5 studentów, którzy stawali się prawdziwymi panami domu. Rodzina wpoiła mi zasadę: kto nie pracuje ten nie je. I ja tak myślę. Kiedy nie pracuję, mam podświadome poczucie winy. To są momenty, niebezpieczne, gdy mojej równowadze wewnętrznej grozi rozbicie. Aż do dziś zachowałem instynktowną pokorę wczesnego dzieciństwa, na przykład, jeżeli ktoś mnie zaczepi, nie tylko nie oburzam się, ale niemal chcę przepraszać.

— Dzieciństwo jest dla pana chyba gorzkim wspomnieniem?

— Och i ja w wieku młodzieńczym buntowałem się przeciwko zakazom, które mnie ograniczały i przeciw przeciętności, która mnie otaczała. A potem, kiedy stałem się ulubieńcem profesorów, chciałem za wszelką cenę być pierwszy. Kiedy odkryłem, że na świecie poza książkami istnieją także dziewczęta, zmieniłem się.

— Kiedy pana bunt znalazł swój wyraz w literaturze?

— W wieku 13 czy też 14 lat. Postanowiłem zostać pisarzem, ale nie wierzyłem, że można zarabiać na życie pisaniem powieści. Myślałem więc o jakimś drugim zawodzie. W dniu, w którym dowiedziałem się o poważnej chorobie mego ojca, rzuciłem studia i rozpocząłem pracę w gazecie.

— Kiedyś powiedział pan, że gdyby nie był pan pisarzem, chciałby być lekarzem.

— Tak, powiedziałem tak, ale wątpię czy udałoby mi się skończyć studia. Studiując miałem zawsze wrażenie, że się duszę. Wolałem już dziennikarstwo. Było moją prawdziwą deską ratunku, wówczas, gdy byłem daleki od tego poczucia pewności i zalet jakie mi się obecnie przypisuje. Jeżeli w moich powieściach pełno jest ludzi przegranych, rozbitków życiowych, to dlatego, że przez długi czas wierzyłem i teraz mi się to jeszcze chwilami zdarza, że taki właśnie powinien być mój los.

— Nie jest pan wprawdzie rozbitkiem, ani człowiekiem przegranym, ale czy osiągnął pan pełny sukces w życiu?

— Oczywiście, że nie. Już 40 lat piszę powieści. Kiedy miałem 30 lat liczyłem, że koło czterdziestki napiszę swoją pierwszą wielką powieść. Mając lat 40 odłożyłem to na 10 lat, a potem na jeszcze 10 lat... Dziś mając lat 64 próbuję wciąż jeszcze przesunąć ten termin. Z punktu widzenia literackiego, wydaje mi się, że nie sięgnąłem w głąb duszy ludzkiej, tak jak zamierzałem. Jeżeli zaś chodzi o moje życie prywatne, co dzień wyrzucam sobie jakąś gafę, jakiś niewybaczalny brak wyrozumienia.

— Czy wierzy pan, w to iż w końcu osiągnie pan całkowitą pogodę ducha?

— Kiedyś uważałem, że osoby starsze, do których i ja zaczynam się zaliczać, zdobywając pewną mądrość, są z siebie zadowolone. Ale teraz widzę, że to nieprawda. Starzejąc się zdobywamy pewien dystans w stosunku do błędów dzieciństwa i młodości, ale nie mając już nadziei na ich naprawienie, nie mając już dawniejszej żywotności, nie potrafimy dla nich znaleźć żadnego wytłumaczenia.

— Ma pan opinię pisarza, który pisze łatwo i szybko.

— Tak piszę szybko, bo pracuję bardzo nerwowo. Nie potrafię przez dłuższy okres czasu zachować życia i żywotności moich postaci oraz atmosfery, w której one dojrzewają. Był kiedyś okres w moim życiu, gdy pisałem przez jedenaście dni z rzędu i moje powieści liczyły sobie 11 rozdziałów. Teraz mogę pisać tylko przez 7 dni i moje ostatnie powieści mają 7 rozdziałów.

— Mówi się często o „mechanice a la Simenon..."

— Ależ tak, istnieje pewna mechanika, która zresztą nie dotyczy tylko moich powieści. Gdziekolwiek zdarzy mi się przebywać, automatycznie kładę się spać o 10 i budzę o 6 rano. Są pewne czynności, które co dzień powtarzam o tej samej porze. Na przykład. 4 lub 5 codziennych spacerów. Teraz nie mogę się już bez nich obejść. Jeżeli czuję w sobie skłonność do pisania, wystarczy przedłużyć taki spacer, zmienić go w samotną wędrówkę przez pola, aby umysł zaczął działać. Zaczyna się wyłaniać luźny jeszcze zarys akcji, zarysowuja się postacie, tworzy sie rodzaj linii melodycznej. Oznacza to, że w ciągu 2 lub 3 dni znajdę dla moich postaci imię, nazwisko, rodzinę, zawód, miny. Od tej chwili „wchodzę w powieść" i w 7 dni później, książka będzie skończona. Ale to wszystko nie odbywa się bez bólu. Kiedy pierwszego dnia siadam do biurka, jestem tak zdenerwowany, że muszę naszpikować się środkami uspokajającymi.

— Pana ulubieni pisarze współcześni?

— Byłem namiętnym pożeraczem książek do 28 roku życia. W dniu, w którym zacząłem pisać swą pierwszą powieść (bohaterem jej nie był Maigret), postanowiłem nie czytać więcej utworów współczesnych pisarzy. Nie chciałem ulegać wpływom. Nie chodzi tu rzecz jasna o wpływ stylu, konstrukcji lub idei książki. Załóżmy na przykład, że zaczynam pisać powieść o stosunkach między rodzicami i dziećmi i czytam właśnie książkę na identyczny temat, podobnie ujętv. Otóż albo muszę na zawsze zaniechać mego pomysłu, albo muszę ująć go zupełnie inaczej niż początkowo zamierzałem. Oto dlaczego nie czytuję literatury współczesnej. Jestem jednak w niej zorientowany: czytuję recenzje.

— Co pan wobec tego czyta teraz?

— Poza beletrystyką istnieje cała masa ciekawych książek. Lubię czytać reportaże lub pamiętniki, bo mówią dużo o człowieku. Czytam też dzieła z zakresu medycyny i psychiatrii. Te lektury uzmysławiają mi moje braki w wykształceniu, brak solidnych podstaw.

— Czy istnieje powieść, której chciałby pan być autorem?

— Nie, nie chodzi o powieść. Raczej istnieje pisarz, którym chciałbym być. To jest Faulkner. Faulkner w małym hrabstwie zapadłego południa Ameryki przedstawił całą ludzkość. Przed nim podobnego cudu dokonał Thomas Mann w „Czarodziejskiej górze".

— Jak pan obecnie traktuje swój zawód?

— Od dawna jest dla mnie formą rzemiosła. Chęt nie widzę siebie jako rzemieślnika. Więcej, byłbym zadowolony, gdyby nasze narzędzia pracy były cięższe i trudniejsze w użyciu niż ołówki i maszyny do pisania. Gdybym miał siły, pisałbym nie tylko przez pewną ilość dni w roku, ale codziennie, rano w moim „warsztacie".

— A jednak istnieje przecież środowisko literackie, z którego niełatwo się wyrwać.

— Nigdy doń nie należałem. Nie jestem członkiem Związku Literatów. Z drugiej strony nie uznaję etykietki literata, nie jestem literatem, jestem powieściopisarzem. A to pewna różnica. Po namyślę, widzę, że znam osobiście nie więcej niż 8 lub 9 pisarzy.

— Jakich ma pan przyjaciół?

— Mając 19 i pół roku po raz pierwszy przyjechałem do Paryża. Był to okres świetności Montparnassu (potem przyszła epoka Saint Germain-des-Pres). Pogrążyłem się z pasją w tym wirze i spędzałem noce w Rotonde, Dome, Cupole, Jockey. Zostałem przyjacielem Vlamincka, Soutine'a, Deraina, Kisslinga i bywałem u nich, podobnie, jak u wielu artystów music-hallu i aktorów. Od czasu gdy mieszkam daleko od Paryża, spotykam się głównie z lekarzami. Czuję się dobrze w ich towarzystwie, może dlatego, że mają podobne jak powieściopisarze poglądy na człowieka. Nie lubię wychodzić wieczorami, straciłbym przyjemność położenia do łóżka moich dzieci. Poza tym źle się czuję z dala od domu.

— Czy teraz, urządziwszy się w Szwajcarii nie myśli pan o zmianie miejsca pobytu?

— Nie, nie mam tego zamiaru. Ale nie zamierzałem również ruszać się z Ameryki. A jednak, któregoś wieczoru, oglądając telewizję, postanowiłem nagle wrócić do Europy. Pytano mnie o motywy tej decyzji, nie jestem w stanie ich wyjaśnić nawet mojej żonie. Przed wyjazdem ze Stanów, zmieniałem 29 razy mieszkania. Nie mogłem wytrzymać na jednym miejscu dłużej niż 3 lata. Kiedy nie piszę, wykorzystuję mój wolny czas w zależności od pór roku i dnia. Rano; budzę dzieci i schodzę by przejrzeć pocztę. Nie otwieram nigdy zaklejonych kopert. Wiem o co chodzi obejrzawszy stempel i znaczek. Mam mnóstwo tego rodzaju manii.

— Jakich na przykład?

— A więc po przejrzeniu poczty, kończę toaletę, podczas, gdy dzieci idą do szkoły. 10 po 8 siadam do biurka i dyktuję sekretarkom korespondencję. Często idę do miasta by obejrzeć wystawy. Uwielbiam ulice, zwłaszcza w centrum, rano, kiedy się je sprząta. Potem wracam do domu, podpisuję listy, czytam gazetę — zajmuje mi to jakieś pół godziny. Jem z rodziną, oczywiście. Po obiedzie godzinkę wypoczywam. Latem, gram w golfa. Chodzi nie tyle o sport ile o nałóg. Gracz w golfa przez całe życie stara się poprawić pozycję, stóp, nóg, ramion, rąk, palców, głowy. Spieszy się, bo inni go doganiają. Niecierpliwi się ponieważ inni go wyprzedzili. Robi niewybaczalne błędy i wieczorem, w myślach, próbuje je naprawić. Bywają dni, w których zamiast golfa są dziennikarze, radio, telewizja, wydawcy.

— Pana projekty na przyszłość?

— Mam nadzieję napisać jeszcze wiele powieści. Chciałbym żyć długo, a to głównie dla dwóch przyczyn. Po pierwsze dlatego, że tylko w ten sposób dokonam pełnego cyklu życia człowieka. Po drugie, a to już są względy bardziej osobiste, chciałbym doczekać chwili, gdy moje dzieci będą już dorosłe, aby wiedzieć jak sobie ułożyły życie. A najmłodsze ma teraz 8 lat.

Tłum. M. K.

Lewym okiem

OBECNOŚĆ OBOWIĄZKOWA

Przyjechali do Warszawy agenci wielkiej angielskiej firmy, produkującej opakowania. Tacy agenci ze wszystkich branż uwijają się po całym świecie i ze skóry wyłażą, żeby zdobyć odbiorców dla swoich firm, a więc przede wszystkim pokazać się jak największej liczbie potencjalnych klientów, móc z nimi pogadać, nawiązać pierwsze kontakty.

Wyobrażam sobie, jak bardzo byli zdziwieni zastaną u nas sytuacją. Prawda, że wydali trochę funtów na wynajęcie pięknych pomieszczeń w centrum stolicy, zorganizowanie małej wystawy, zaangażowanie zręcznych kelnerek i mniej zręcznych tłumaczy. Za to nie musieli szukać żadnych kontaktów. Kontakty waliły drzwiami i oknami, setki jakże typowych panów z grubymi teczkami z całego kraju. Zainteresowanie? Snobizm? Chęć podpatrzenia dobrych i godnych naśladowania pomysłów?

Nie. To tylko wysoka władza administracyjna rozesłała dalekopisy, zakończone pięknym, handlowym zwrotem: „obecność obowiązkowa".

Wzywa więc dyrektor spółdzielni pszczelarskiej w Pcimiu swego zastępcę, zastępca naczelnika, naczelnik referenta — panie, jutro do Warszawy. Trzęsą się w przedziałach pierwszej klasy zaspani referenci, ciągną na zjazd gwiaździsty, stemplują delegacje, idą na ferfelki na Kredytową, nocą wracają do swych pieleszy. Oczywiście siedzą też wielkim tłumem na prelekcji reklamowej angielskiego agenta, usiłują słuchać tłumaczki, powtarzającej mozolnie zdanie za zdaniem, zasypiają, dostają kawę — koniec zajęć, odfajkowane.

Prelekcji towarzyszą przezrocza. Oto piękne angielskie opakowanie szynki. A to dla porównania wasze polskie opakowanie. Cała sala trzęsie się przymilnie ze śmiechu i z politowania nad zacofaniem naszego przemysłu. A to pudełka do zielonego groszku, mówi Anglik. — Proszę puścić je obiegiem. Wczoraj miałem ich dużo — mówi jeszcze — ale nie wróciły od słuchaczy do moich rąk. Cała sala trzęsie się przymilnie ze śmiechu.

Po prelekcji tłumaczka rozdaje pełny jej tekst, przepisany na maszynie po polsku, włożony w okładkę z ładnego papieru. Całe partie tego tekstu nadają się — ze względu na poziom ich tłumaczenia — na ostatnią stronę „Przekroju", choć na pewno robione były w kraju, przez ludzi znających dobrze język. Mam na myśli polski język. Tekst jednak nie jest ważny, nieważne, że zabrakło go dla wielu słuchaczy. Zanim doniesiono dodatkowe egzemplarze z zaplecza — referenci rozchwytali puste okładki. Ładny papier...

Nasza firma istnieje od stu dwudziestu lat — mówi agent z dumą — mieści się wciąż w tym samym miejscu, wykazuje 60 milionów funtów rocznego obrotu i zatrudnia 25 tysięcy ludzi. W tym — podkreśla z jeszcze większą dumą sa-mych plastyków-projektantów prawie dwudziestu...

Naiwniak. U nas stu dwudziestu plastyków obmyśla jeden fabryczny znak. Sto par skarpet układa na stoisku targowym siedmiu plastyków-etalażystów, po czym drugich siedmiu poprawia, trzecia rota zatwierdza, czwarta usterkuje, piąta ocenia. Najmniejszy zygzak na torebce z agrafkami przechodzi przez pięć coraz to wyższych i liczniejszych komisji, w których plastyk plastyka odsądza od czci i wiary. A jak już się pogodzą i zezwolą na przystąpienie do „wdrażania" to i tak nikt nie ma takiego koloru ani takiego papieru.

Co jeszcze? Aha, te uwagi o psychologii kupna. Do supersamu wchodzi człowiek, który jeszcze nie wie czego szuka, w przeciwieństwie do klienta w zwykłym, tradycyjnym sklepie, który od progu woła: proszę ćwiartkę i czarnego. Krąży po supersamie, a towar sam musi go sprowokować: kup mnie! Jeśli w ciągu ośmiu sekund klient nie zdecyduje się sięgnąć po daną rzecz — już nie sięgnie wcale. Przez tych osiem sekund opakowanie musi powiedzieć wszystko o swej zawartości: co to jest, ile kosztuje, kup mnie, kup mnie, kup jeszcze raz!

Takie tam bajki, albo niedokładny przekład. To przecież nie opakowanie mówi, tylko sprzedawca. I nie osiem sekund, tylko osiem godzin. I nawet słowa też inne. Więc uśmiechają się referenci na sali, a dwóch czy trzech, znających angielski i trawionych żądzą zademonstrowania tej znajomości, mówi w przerwie znudzonemu już Anglikowi, że u nas nie tak.

Ciekawa impreza. Obecność obowiązkowa.

CWIEK

Redaguje zespół: Halina Bekowa (redaktor techniczny), Wacław Biliński (redaktor naczelny), Konrad Freydlich, Jan Koprowski (kierownik działu kulturalnego), Andrzej Makowiecki, Ewa Siemińska, Włodzimierz Stokowski (z-ca redaktora naczelnego i sekretarz redakcji), Teresa Wojciechowska. Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi. Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. Tel. 244-79. Warunki prenumeraty: miesięcznie 1 zł; kwartalnie 12 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa" — Łódź, Żwirki 17. Zam. 1468. V. 1967 r. O-10.